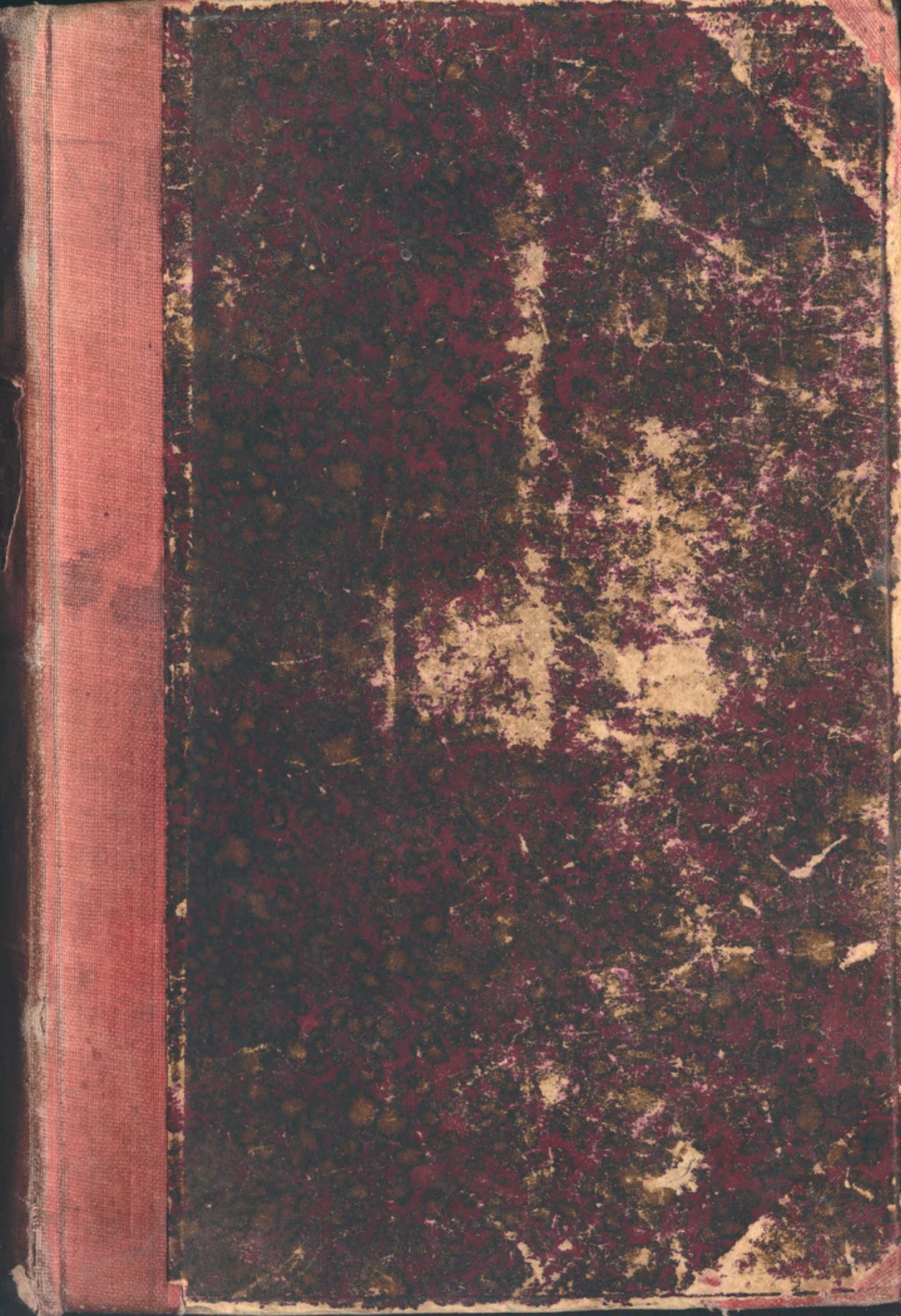






MIŁOŚĆ, SZTUKA I PIENIĄDZE

TEGOŻ AUTORA:

PAMIĘTNIK WISIELCA, nowelle.

SŁAWNY CZŁOWIEK, powieść. Wyd. II.

MICHALIK z P. P. S., powieść.

WIOSNA, powieść.

Prawo przekładu zastrzeżone.

KA I PIENIĄDZE



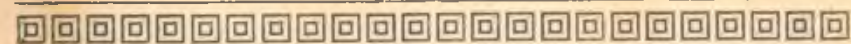
WARSZAWA — 1911

NAKLAD I DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA SYNÓW

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I S-KA

(T. Hiż i A. Turkuł).

NA MARGINESIE



Przez wielkie okna pracowni widać było parę suchotniczych kasztanów, z których wiatr pootrzęsał już liście.

W szarej mgle jesiennego popołudnia drzewa zatraciły ostrość konturów i patrząc na nie, doznawało się wrażenia, że topnieją na deszczu.

Ulewa srożyła się coraz silniej. Napływały ciężkie chmury i pomimo, że do wieczora było jeszcze daleko, w pracowni panował półmrok.

Ten zmierzch, zapadający za dnia i jednostajny, stłumiony szum deszczu, tak usypiająco działały na Błońskiego, że całą siłą woli musiał panować nad sobą, żeby nie zasnąć naprawdę. Utkwił wzrok w szyby i przyglądał się drżącym szkieletom kasztanów, z których raz po raz wiatr odrywał ostatnie zeschnięte i pokurczone liście. Ale długo nie mógł w je-

den punkt patrzeć, gdyż odrazu ogarniała go nieprzewzięta senność. Przedmioty poczynaly mu się mienić przed oczami, przybierając fantastyczne, wizyjne kształty.

Wstał z kanapy i podszedł do okna. Powiało na niego od szyb wilgotnym, przejmującym chłodem. To nasunęło mu myśl, że w zimie będzie w tej pracowni strasznie zimno, i zwracając się do Lipowskiego, odezwał się przyjacielskim tonem:

— Nie wiem, czy pan tu wytrzyma, gdy się zaczną mrozy.

Ale rzeźbiarz, pochłonięty pracą, nic nie odpowiedział. Tylko pani Marya zmarszczyła niecierpliwie brwi, dając tem mężowi znak, że przeszkadza. Trochę zły, umilkł i usiadł z powrotem na kanapie.

Niecierpliwiło go to posiedzenie, które też i przeciągało się dziś nad miarę długo.

Lipowski wpadł w wyjątkowy zapał. Pracował w milczeniu, nerwowo zagryzając usta. Raz po raz przytem niecierpliwym ruchem dłoni odgarniał włosy z czoła, które wciąż niesfornie, opadały mu na oczy.

— Czemu się nie ostrzyże, skoro mu to przeszkadza? - pomyślał Błoński, zauważywszy ten jego ruch.

Wogóle nie lubiał Lipowskiego. Uważał go za pozera. A przedewszystkiem to go do rzeźbiarza zrażało, że nie mógł się dopatrzyć

najmniejszego podobieństwa pomiędzy tem, co on lepił, a głową żony.

— Takie to podobne do Marychny — myślał — jak ja do cesarzowej chińskiej.

Pani Marya była wręcz odmiennego zdania.

Pełna zachwyty dla talentu Lipowskiego, przepowiadała mu europejską sławę, a biust jej, który rzeźbił, uważała za arcydzieło sztuki.

Błoński oponować jej nie śmiał. Taki sam zachwyty, jak ona dla talentu rzeźbiarza, on miał dla jej znawstwa. Ale do duszy wkradło mu się podejrzenie, że jednak tym razem, Marychna się pomyliła.

Podziwiał jej wytrzymałość. Siadając do pozowania, zmieniała się w nieruchomy posąg. I mogła tak siedzieć całymi godzinami, jakby we śnie hypnotycznym. Dla Błońskiego było to niepojęte. Nic go tak nie męczyło, jak nieruchome, choćby przez chwil kilka pozostawanie na jednym miejscu. Czuł, że onby tak nie wysiedział. Zemdlałby. Wytrzymałość żony tłómaczył sobie jednak nie różnicą usposobień, lecz wyższem jej umiłowaniem sztuki. Był przekonany, że ją męczy to tak samo, lecz że pietyzm dla dzieła talentu przewyższał w niej znużenie.

Błoński nie znał się na sztuce, ale pragnął ją kochać. Zrodziło się w nim to pragnienie pod wpływem żony, która posiadała

naturę niesłychanie wrażliwą na piękno i artystyczną. To tak na niego oddziaływało, że się stał innym nieomal człowiekiem. Przed ślubem sztuka nie istniała dla niego wcale. Artystów lekcewazył, oceniając ich z punktu widzenia zamożnego filistra, który świat mierzył pieniędzmi. Dopiero pani Marya nauczyła go patrzeć innemi oczami na wszystko. Przyznawał to szczerze i mówił, że przed ożenieniem się był zupełnym barbarzyńcą.

Zmieniwszy zapatrywania, zaczął poszukiwać gwałtownie towarzystwa artystów.

Zaniechał dawnych stosunków i począł się obracać w sferach poetów, malarzy, rzeźbiarzy, literatów i dziennikarzy, którzy stale zbierali się u nich w domu, tak, że wkrótce salon Błońskich stał się znanym w Warszawie ze swego artystycznego charakteru.

Ze wszystkich znajomych artystów Lipowski był dla niego najmniej sympatycznym. Mówił tylko o sztuce, i to tak zawile, że Błoński, aczkolwiek z całą energią dobrej woli, starał się dążyć śladem jego myśli, nigdy nie mógł pojąć, o co mu chodzi. I przeto w pracowni Lipowskiego zawsze był skazany na przymusowe milczenie. Gdy Lipowski pracował, nie wolno było wogóle rozmawiać, bo to mu przeszkadzało, a gdy podczas przerw w pozowaniu zapuszczał się z panią Maryą w długie dyskusye o sztuce, nie mógł brać

w nich udziału, ponieważ nic nie rozumiał. I nie wiedział, kogo ma za waryata uważać, czy siebie, czy Lipowskiego. Ta wątpliwość była najgorszą.

Zdenerwowanie miało ten dobry skutek, że go orzeźwiło z sennałości.

— Poczekaj hyclu, będziesz ty tutaj marzył w zimie i to nie symbolicznie, ale naprawdę, myślał patrząc na Lipowskiego. I ta myśl sprawiała mu zadowolenie. — Jak sobie łapy poodmrażasz, to przynajmniej nie będziesz świństw robił.

Wyobraził sobie rzeźbiarza, otulonego w kołdrę i szczękającego z zimna zębami i uśmiechnął się złośliwie.

— No dość na dzisiaj — odezwał się nagle Lipowski. — Dziękuję pani — dodał, schylając się w ukłonie przed Błońską.

Podziękowała mu za ukłon uśmiechem i zeszła z podium.

Błoński podejrzliwie śledził ruchy rzeźbiarza, który skrzyżowawszy ręce po napoleońsku na piersiach, posępny wzrokiem przypatrywał się swojej robocie. Obawiał się, że Lipowski lada chwilę poprosi pani Maryi, aby mu jeszcze pozowała „pół minuty“. Zwykle tak bywało, że po urzędowem zakończeniu posiedzenia, rozpoczynały się owe dodatkowe minuty, pół minuty i sekundy, które nieraz ciągnęły się dłużej niż sam seans. Li-

powski co chwila ślicznie pani Maryi dziękował, przepraszał ją i bezpośrednio potem kazał jej znów stawać do pozowania.

Rozpoczęły się nieskończone: „Jeszcze moment, dobrze? Niech pani zwróci trochę głowę na lewo, a teraz na prawo, a teraz niech pani wyprostuje” — i Błońskiego nic tak nie drażniło, jak to właśnie. Posiadał umysł ścisły i skoro mówił, że coś przestaje robić, to przestawał. Nienawidził ludzi niezdecydowanych. Podejrzywał przytem, że rzeźbiarz naumyślnie przeciągał pozowanie, aby mu dokuczyć.

Tym razem Lipowski naprawdę skończył robotę.

Począł moczyć szmaty w wodzie i owijać niemi biust.

Widząc to, Błoński odetchnął. Wstał z kanapy i zbliżył się do żony.

— Musisz być trochę zmęczona.

— Nic a nic — odparła, mimo, że było znać po niej znużenie, i to dość silne.

— Panią Maryę pozowanie nic nie męczy — odezwał się Lipowski z wesołym uśmiechem, spoglądając na Błońskiego.

Jego uśmiech i ton głosu nie podobały się Błońskiemu. Odczuł w nich przymówkę do swej filisterskiej ociężałości. Postanowił się odciąć.

— Na to, żeby godzinę siedzieć bez zmę-

czenia w jednej i tej samej pozycji, trzeba być fakirem — odparł oschle.

— Albo kochać tak sztukę, jak pańska żona...

— Rzeczywiście—podchwyciła żywo Błońska. — Moment, w którym się tworzy dzieło sztuki, ma dla mnie w sobie jakiś niewypowiedziany, mistyczny czar. To wielka, święta chwila. Dlatego też nie wyobrażam sobie, aby artysta tworząc, mógł odczuwać zmęczenie. Na mnie samą tak to oddziaływa... Zapadam w jakiś rodzaj snu hypnotycznego. Wierzy mi pan, że nie przesadzam?

— Wierzę pani — odparł Lipowski, mrużąc oczy.

Błoński obrzucił go pełnem nienawiści spojrzeniem. Ale Lipowski nie zwrócił na to uwagi, ponieważ w ogóle na męża pani Maryi nie zwracał uwagi najmniejszej. O ile Błoński zwracał się wprost do niego, odpowiadał mu z chłodną, impertynencką grzecznością.

— Wierzę pani — powtórzył po chwili głośniejsz. — Wierzę, ponieważ ja doznaję zupełnie tych samych uczuć. Praca nie męczy mnie nigdy. Skoro się do roboty zapalę, potrafię nie jeść, nie spać i przez myśl mi nawet nie przejdzie, że to potrzebne. Potem miewam oczywiście chwile strasznego znużenia i wyczerpania.

Przy ostatnich słowach głos mu się zła-

mał. Wymówił je słabym, omdlewającym tonem, który miał dźwiękiem ilustrować to znużenie, jakie go ogarniało po przepracowaniu. I odszedłszy w kąt obszernej pracowni, gdzie stał duży, gipsowy odlew Venus z Milo, wsparł się łokciami na jej ramionach, jak gdyby chcąc przez to zetknięcie z arcydziełem sztuki antycznej nabrać nowych sił.

Przez kilka chwil panowała w pracowni cisza, przerywana tylko monotonnym pluskaniem deszczu po szybach.

— Nastrój — pomyślał Błoński.

Wiedział, że jeśli o zmierzchu w pracowni wszyscy przestają naraz mówić i wsłuchują się w szum deszczu, świst wiatru, albo dźwięki muzyki, dolatujące niewyraźnie gdzieś z po za ściany — to chwila taka nazywa się nastrojowa.

I bolało go to bardzo, że sam w takich chwilach nie potrafił nigdy doznawać innych wrażeń prócz nudy, którą starał się maskować groźnym marszczeniem brwi, przewracaniem oczu i wogóle szeregiem giestów, mających przekonać otoczenie, iż on tak samo umie się wżyć w „stan twórczy“ i odczuć jego piękno.

Dziś jednak tak nie miał humoru, że już nie mógł pamiętać o obowiązkach, narzuconych mu przez kulturę artystyczną. W coraz większym mroku, jaki panował w pracowni,

bo powoli i zmierzch już zaczynał zapadać, Lipowski, oparty o odlew Wenery, stawał się sam podobnym do posagu. Błoński nie patrzył na żonę, czuł jednak, że ten wysoki, szczupły chłopak, z bujnemi czarnemi włosami, które mu jak lwia grzywa opadały na czoło, musi się jej podobać. I ta myśl napępiała go nie zazdrością nawet, ale jakimś dziwnym uczuciem gryzącego niesmaku.

Ciszę przerwała pani Marya.

— Co za wspaniały pomysł do nowelli — odezwiała się z rozmarzeniem w głosie. — Rzeźbiarz, zakochany w Wenerze. Posąg jej wykuty z białego marmuru, to jedyna kobieta, jaka dla niego na świecie istnieje. I kocha ją, nie tak, jak się kocha dzieło sztuki, ale jak żywą istotę. Umie czytać w martwych jej żrenicach, czuje, jak jej kamienne wargi poruszają się w niewidzialnym dla innych uśmiechu. Jest zazdrosny, nikomu nie pozwala na nią spojrzeć i upaja się do szału w jej zimnych...

Zacięła się, szukając słów.

Chciała powiedzieć: „w jej zimnych uściskach“, lecz wyrażenie to wydało jej się nieodpowiednim. Szybko znalazła inne:

— I upaja się aż do szału, darząc uściskiem jej zimne kształty.

— Wspaniały, wspaniały pomysł — wyszeptał Lipowski głosem pełnym szczerzego

zachwytu. — Ale z pani bajeczna poetka. Co za wizya! — dodał, tuląc się kurczowo do gipsowego odlewu.

— Tak, tak, tak! — krzyknęła na cały głos Błońska, rozegzaltowana jego zachwytem. — Widzę, że mnie pan zrozumiał. Ten pański mimowolny, nerwowy ruch powiedział mi to lepiej, niż słowa. Bo on tak właśnie powinien ją kochać, jak kobietę, całym ogniem namiętności. Okrywa ją pocałunkami, pieści, dochodzi do największego napięcia szalu, do fizjologicznej ekstazy.

Błoński chrząknął niecierpliwie. Wydało mu się, że rozmowa poczyną już przekraczać granice przyzwoitości zakreślonej dla dobrze wychowanych kobiet.

Korzystając z chwili, w której rozmowa znowu się przerwała, zwrócił się do żony:

— Możebyśmy już poszli.

Wypowiedział te słowa oschle, prawie niegrzecznie.

Pani Marya zmierzyła go od stóp do głów przeciągłym spojrzeniem.

— Dobrze — odparła krótko.

Błońskiemu wydało się w tej chwili, że po grubych, murzyńskich wargach rzeźbiarza, przewinał się ironiczny uśmiech.

Oczywiście, było to tylko urojenie, ponieważ w pracowni taki mrok panował, że gdyby nawet Lipowski, który w dodatku stał

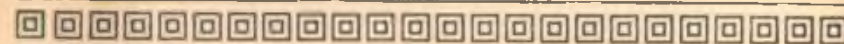
w najciemniejszym kącie, uśmiechnął się naprawdę, to Błoński nie mógłby tego zauważyć. Ale nagle owładnęła nim głucha wściekłość. Ręka zadrgała mu w dziwnym skurczu i po chwili dopiero uświadomił sobie, że to była chęć uderzenia rzeźbiarza. Aż się sam zadziwił tej dzikiej złości, która tak niespodziewanie się w nim zrodziła. Przyzwyczajony do panowania nad sobą, momentalnym rozkazem woli stłumił instykt, i po chwili zęgnął Lipowskiego z konwencyonalnym uśmiechem obojętnego, lecz dobrze wychowanego człowieka.

Pani Marya nie odzywała się do męża wcale, nie patrzała na niego, nie istniał dla niej. Opuszczali pracownię, jak dwoje nieznajomych ludzi, którzy przypadkowo spotkali się we drzwiach.

Błoński czuł, że to milczenie poprzedza atak nerwowy, jakim pani Marya coraz częściej podlegała w ostatnich czasach. Postanowił więc tylko odwiedzić ją do domu i zaraz uciec, pod pozorem jakichkolwiek interesów, spędzić wieczór na mieście i nie wracać przed północą. Nie łudził się bynajmniej nadzieją, że jego taktyka zażegna burzę, widząc tylko jej fatalną konieczność, chciał ją odwlec, jak człowiek słabej woli, który zawsze się stara możliwie najdalej odsunąć od siebie nieprzyjemną chwilę.

Lipowski mieszkał w Alejach Jerozolimskich, nad samą Wisłą. Nawet porządanej drożki nie można było znaleźć w tych stronach.

Zwaśnieni małżonkowie musieli wsiąść do roztrzęsionej dryndy, która z trudem wlokła się pod górę po wyboistym bruku, chwając się przytem na wszelkie możliwe strony. Raz po raz silniejsze wstrząśnienia rzucały Błońskiego w mimowolne objęcia pani Maryi. Z piersi jej za każdym razem wydobywało się ciche westchnienie, jak gdyby echo utajonej skargi na te brutalne zrządzania losu, które każą jeździć niewygodnymi drożkami u boku filistra-męża, wówczas właśnie, gdy chciałoby się być od niego jak najdalej.



W dwa miesiące potem pani Marya przechodząc przed południem Alejami Ujazdowskiemi spotkała Lipowskiego.

Rzeźbiarz przywitał ją ukłonem i chciał wyminąć, przywołała go do siebie przyjacielskim ruchem dłoni.

— Do pracy się pan spieszy?

— Nie — odparł z nieokreślonym, na wpół wesołym uśmiechem. — Nic dziś robić nie mogę. Za bardzo śnieg mnie rozmarzył.

Tego dnia właśnie spadł pierwszy śnieg i ubielił miasto.

— Doprawdy? — krzyknęła zachwycona. — Jak to cudownie się składa. Ja także wyszłam z domu, żeby się po śniegu powłóczyć. Będziemy razem chodzili, dobrze? Ja panu marzyć nie przeszkodzę.

Słowa rzeźbiarza sprawiły jej żywą przyjemność. I na nią pierwszy ten śnieżny poranek podziałał dziwnie rozmarzająco. A ponieważ Lipowskiego uważała za niepospoli-

tego artystę, w paryskim stylu — więc owa wspólność uczucia, mile podrażniła jej artystyczną strunę.

Po twarzy rzeźbiarza przemknął niedostrzegalny cień niezadowolenia. Miał już dość przechadzki i zamierzał był właśnie wracać do domu. Nie wypadało mu jednak po tak entuzyastycznym zaproszeniu, odmówić Błońskiej towarzystwa.

— Z najmiłą chęcią — odparł, przeklinając w duszy panią Maryę, jej rozmarzenie i przede wszystkim siebie samego za nieostrożne zdanie, jakie wyrwało mu się z ust.

Ale Błońska miała naprawdę tyle szczerego rozmarzenia w oczach, że to go rozbroiło.

Weszli do parku.

Śnieg okrył równym, białym całunem trawniki, i pootulał gałęzie drzew w puszyste okiście. Wyglądało to tak, jak gdyby drzewa przystroiły się na mrozy w białe futra. Niebo było okryte chmurami i w powietrzu wirowały wciąż drobne kryształki śniegu, który im tajał na twarzach. Pani Marya podniosła woalkę, sprawiało jej to przyjemność. Lipowski, mniej wrażliwy na żywiołowe pieszczoty przyrody, żałował, że nie wziął ze sobą parasola.

— Czuję, że panu Warszawa musi się podobać — odezwała się Błońska po chwili

lowem milczeniu. — Miasto tak wygląda, jak gdyby całe było wykute z kararyjskiego marmuru.

Mówiła przyciszonym głosem, ażeby nie płoszyć marzenia.

— Pani ma bajeczne porównania — odparł. — Rzeczywiście — dodał, rozglądając się po parku. — To jest marmurowy pejzaż.

— Może taki widok rozmarzyć, prawda? Nawet o tem można zapomnieć, że jesteśmy w Warszawie.

Pani Marya bardzo lubiała Warszawę, nie przyznawała się jednak nigdy do tego głośno, przeciwnie, skarżyła się zawsze, że ją trawi tęsknota nieukożona za Paryżem, Monachium, Dreznem i wogóle temi miastami, w których naprawdę żyć mogła sztuką. Było to niewinne kłamstwo, którego się dopuszczała, ulegając wpływom otoczenia. Wszyscy ci literaci i artyści, którzy zbierali się w jej salonie, nienawidzili Warszawy. Błońska w głębi duszy podejrzewała ich o pewną nieszczerość, lecz nie próbowała bronić rodzinnego miasta i narzekała wraz z nimi na duszną i filisterską atmosferę warszawską.

Przez chwilę szli w milczeniu. Rzeźbiarz, zziębnięty, nie miał ochoty do rozmowy. Śnieg padał coraz gęściej i prócz nich dwojga nikogo prawie nie było w parku. Raz po raz silniejszy podmuch wiatru wstrząsał

drzewami i wylawiał ostatnie zeschłe liście, które zataczając fantastyczne kręgi w powietrzu, opadały na ziemię. Błońska ścigała je roztkliwionem spojrzeniem.

— Pani nie zimno? — odezwał się Lipowski.

— Nie... — odparła. — Jestem ciepło ubrana.

Rzeźbiarz z łatwością mógł to stwierdzić własnymi oczami. Błońska miała na sobie kosztowny karakułowy żakiet, który na pewno dobrze ją chronił od mrozu. On zaś marzył w swoim jesiennym palcie. I na to chciał delikatnie zwrócić uwagę pani Maryi. Lecz ona pytanie jego zrozumiała zupełnie inaczej. Nie było w niem nic artystycznego. Lecz to właśnie ów przeskok od sztuki do codziennej troski o zdrowie, podobał jej się. Przytem — tak jej się przynajmniej zdawało — w głosie Lipowskiego brzmiał jakiś szczególny akcent. Spojrzała na niego z zaciekawieniem. I wszystkie myśli mogły być przyjąć jej do głowy w tej chwili, prócz tej jednej, że rzeźbiarzowi może być zimno.

— Ludzie powiadają — odezwała się miękkim pieszczotliwym tonem, że do marzenia potrzeba jest samotności. A mnie się zdaje, że i we dwoje można marzyć. Trzeba tylko umieć czuć wspólnie, nieprawdaż?

— Prawda — odparł poważnie Lipowski.

Pani Marya знаła go dość dawno i lubiała bardzo, dziś jednak wydał jej się jakimś zupełnie innym. — Nie umiała uświadomić sobie nawet na czem właściwie polegało to wrażenie, ale czuła że ją napęla przyjemnym nieokreślonym niepokojem. — Spostrzegła po raz pierwszy, że Lipowski jej się podobał. I przyglądała mu się ciekawie, starając się odgadnąć, dlaczego tak tkliwym głosem dopytywał się, czy jej nie zimno. Rzeźbiarz szedł obok niej zamyślony.

Z lekkiego zmarszczenia brwi można było sądzić, że trapią go jakieś smutne myśli.

Błońską to ucieszyło. Marzy i smuci się... biedny chłopak.

— Cudny, cudny śnieg — wyszeptała półgłosem.

— Cudny — powtórzył Lipowski.

— Dobrze panu w tej chwili?

— Dobrze...

— I mnie... Szkoda.

— Czego? — podchwycił rzeźbiarz.

— Ze do domu trzeba będzie wracać — odparła cicho, pochylając z lekka głowę.

Lipowski szybko spojrzał na nią przenikliwym, badawczym spojrzeniem. Zadziwiły go jej słowa, ale bardziej jeszcze ten ruch głową i niezwykle, dziwnie prosty ton głosu. Jakieś nieokreślone uczucie, z którego nawet żadna myśl nie zdążyła się jeszcze wyłonić,

napelniło mu duszę. Instynktownym ruchem wyprostował się, odwinął kołnierz od palta i lekko zesunął kapelusz z czoła.

— Do domu... do domu — i westchnął, nie wiedząc jeszcze, co ma odpowiedzieć Błońskiej.

Spojrzenia ich spotkały się i przez chwilę patrzyli sobie w oczy, jak gdyby chcąc wzajemnie przeniknąć swe myśli.

Pani Marya pierwsza spuściła wzrok. Na twarz wystąpił jej lekki rumieniec. Zawstydzilo ją spojrzenierzeźbiarza. Wyraźnie uczuła, że ją rozbierał oczami.

— Oprócz nas nikogo nie ma w parku.

— Prawda.

— Białe południe...

— Ostatnie liście spadają z drzew.

Oboje byli onieśmieleni i mówili urywanymi zdaniem, jak gdyby kończąc tylko głośno myśli, które niewypowiedziane rozpląwały im się po duszach. Ten sposób prowadzenia rozmowy bardzo się pani Maryi podobał, przypominał jej styl dramatów Maeterlincka.

Zasuggestyjonowana tem podobieństwem, powtórzyła po chwili z lekkim patosem w głosie:

— Oprócz nas nikogo nie ma w parku.

Lipowski spojrzał na nią pytająco. Będąc mniej odczytanym i lotnym od pani Maryi, nie pochwycił stylu rozmowy i wydało mu

się tylko, że Błońska kładzie pewien szczególny nacisk na to, że są sami w parku. Nie wiedział jednak, jak on ma się wobec tego zachować. Bądź co bądź park był publiczny i lada chwila mógł ktoś nadejść.

Ale słowa Błońskiej mile podrażniły jego dumę mężką. Mrużąc zlekka oczy, przeżył ją powłóczytem spojrzeniem.

— Dziękuję panu — szepnęła.

— Za co?

— Za to, że pan mnie tak rozumie... I wie pan, co mi na myśl przyszło... Że cały świat jest tylko materiałem dla artystów. Nawet mowa ludzka tylko po to istnieje, żeby poeci mogli z niej układać wiersze. Bo ludziom przecież nie potrzebna. Jeśli mają coś wspólnego w duszach, mogą się porozumiewać bez słów.

— Bezwątpienia — odparł.

Nie miał już najmniejszej wątpliwości co do intencji, w jakiej Błońska mówiła to wszystko. Zmierzył ją raz jeszcze od stóp do głów badawczem spojrzeniem, które miało zdecydować ostatecznie, czy warto jest wszczynać z nią romans, czy nie. Pani Marya pragnęła tego najwidoczniej, więc wszystko było w jego mocy. I postanowił uleść. Wprawdzie uroda Błońskiej nie oddziaływała na niego do tego stopnia, aby w nim budzić pożądanie, ale ten drobny szczegół usunął się na

plan dalszy wobec nadziei stosunku z „przy-zwoitą mężatką“.

Pragnieniem tem rzeźbiarz żył od dawna, od przyjazdu do Warszawy — wypełniało mu ono samotne chwile marzeń i nie można było pomijać lekkomyślnie sposobności, w której te marzenia mogły się stać jawą.

Rzeźbiarz miał wogóle z miłością bardzo wiele kłopotu w życiu. Straszny panował rozdzźwięk pomiędzy jego wyobrażeniami o tem, jakie kobiety można kochać, a rzeczywistością. W teorii jedynie jakieś ucieleśnienie posągu greckiego, mogło stać się godnem jego estetycznych upodobań, w rzeczywistości jednak — w tej szarej rzeczywistości codziennej, kochankami Lipowskiego były ordynarne, uliczne kokoty, które raziły go każdym słowem i ruchem, a już najbardziej zupełnym brakiem zaufania do handlowej uczciwości mężczyzn. Nienawidził ich, a w chwilach kompromisów z konieczności i zbliżeń, prześladowała go jeszcze obawa, aby go kto ze znajomych nie podpatrzył. Wstydział się tych stosunków, uważając, iż nie harmonizowały one z estetyczną aureolą, jaką się otaczał.

Oczywiście, wszystko na świecie jest względne.

Są i kokoty, które można wzniesć na wyżyny poezji zepsucia, ale na to potrzeba pieniędzy. Lipowskiemu zaś skromne środki

nie pozwalały sięgać na szczyty, gdzie brylantowymi dyademami świeciły prawdziwe gwiazdy półświatka — musiał szukać zdobyczy w pospolitym tłumie, wśród szeregowców wielkomiejskiej armii amazonek miłości. To napełniało mu duszę rozgoryczeniem.

Miał szersze stosunki w Warszawie, znał wiele kobiet, a napróżno szukał wśród nich tej jedynej i wybranej, któraby mu rozwarła miłosnie ramiona. Napotkał był wprawdzie parę entuzyastycznych wielbicielek talentu, które gotowe były, zdaje się, to uczynić, te jednak tak były zaśniedziałe w staropaniństwie i niepospolicie brzydkie, że rzeźbiarz musiał odtrącić brutalnie uczucia, jakimi chciały go darzyć.

Ideąłem Lipowskiego była kobieta nie tylko piękna, ale i bogata. Nie dlatego bogata, aby miała go wspierać pieniężnie, ale ponieważ, dzięki kapitalistycznemu ustrojowi społeczeństwa, jedynie, niestety, bogactwo pozwala kobiecie otoczyć się tym zbytkiem, jaki jest niezbędny do uwydatnienia wszystkich uroków kobiecości.

Dlatego też marzył o kochance ze sfer arystokracji, lub zamożnej burżuazji.

Był to plan, który jeszcze przed powrotem do Warszawy, za granicą obmyślił i który wówczas wydawał mu się niesłychanie łatwym do urzeczywistnienia. Z lubością wsłu-

chiwał się w opowiadania o zepsuciu arystokracji i zamożnego mieszczaństwa, każdy skandal towarzyski, o którym wieść nadeszła z Warszawy, napelniał mu duszę błogiem, wewnętrznem uczuciem zadowolenia; kraj z daleka przedstawiał mu się niby wykwinny harem, w którym on wyniesiony przez swój talent na stanowisko padyszacha, będzie mógł tylko przebierać kapryśnie i wybierać.

Ale w Warszawie spotkało go rozczarowanie. Bywał w paru salonach arystokratycznych, w paru domach bankierskich, ale napróżno z całem wyrafinowaniem starał się roztaczać sieci swej kokieterii—owe ponętne koła, pełne powabnych syren były dlań niedostępne.

Nie mógł pojąć dlaczego. Był artystą, i dzięki sprytowi, zaraz po przyjeździe do Warszawy zyskał znaczny rozgłos, posiadał więc to, co teoretycznie działa zawsze bardzo na wrażliwość kobiecą—sławę, był przystojny i starannie pielęgnował w sobie swój odrębny „paryski” styl, przyznawano mu to, mówiono jako pochwałę, że nie ma w sobie nic „warszawskiego”—słowem, posiadał wszystkie dane, ażeby osobą swoją wzbudzić coś więcej niż zaciekawienie, a tego dopiąć nie mógł.

Rozgoryczony, przestał wierzyć w zepsucie, a stosunki z mężatkami i łatwemi do zdobycia pannami z towarzystwa, o których

słyszał wciąż dookoła—począł uważać za literaturę. Natomiast życie wzbogaciło go zjadliwem spostrzeżeniem, że w każdym bogatym domu błąka się zawsze jedna niezamężna kuzynka, w której zaprzyjaźnieni z domem artyści mogą się kochać idealnie. Ale to go nie pociągało. Oczywiście w męskim towarzystwie, w swojej paczce, gdy rozmowa zesła na tory przygód miłosnych i wszyscy przechwalali się stosunkami, i on nie pozostawał za innymi w tyle—a że umiał opowiadać, więc go słuchano ciekawie, ale w głębi serca przekonany był, że ci inni kłamią tak samo, jak i on.

Kiedy poznał Błońskich i zaczął robić biust pani Maryi, był już tak zniechęcony do kobiet z towarzystwa, że ani jej ekstatyczne zachwyty nad jego talentem, ani wyjątkowo głębokie spojrzenia nie wywierały na niego wrażenia. Z góry przewidywał, że wszystko się skończy na „literaturze”—jak pogardliwie nazywał w myśli duchowe obcowanie z kobietami. A on tej literatury miał już dość. Ogarnęła go apatya i począł poważnie o tem myśleć, żeby się ożenić.

Dopiero dzisiejsze niezwykle zachowanie się Błońskiej wznieciło w nim przytłumione zniechęceniami pragnienia.

Postanowił działać odrazu.

Przysunął się do niej, prawie przytulił,

i ujawszy ją za rękę, powoli zaczął rozpinąć rękawiczkę.

Nie broniła mu tego.

Wtedy wycisnął na jej dłoni przeciągły, namiętny pocałunek i wyszeptał przytłumionym, jakby hamowanym przez wzruszenie głosem:

— Dziękuję pani.

— Za co?

— Czyż mam mówić?

Błońską, pomimo wszystko, zadziwił niespodziewany wybuch czułości rzeźbiarza. Zaczzerwieniła się z lekka. On to spostrzegł i wytłumaczył sobie jej zmieszanie wstrząsającym wrażeniem, jaki wywarł na panią Maryę jego pocałunek.

— Trzeba kuć żelazo póki gorące — przemknęło mu przez myśl i już miał na ustach elektryzujące słowo „kocham“, gdy nagle z bocznej alei wysunął się jakiś siwy staruszek, który obrzucił ich podejrzliwym spojrzeniem.

To go onieśmieliło. Z twarzy Błońskiej pod wpływem cudzego wzroku znikł również odrazu wyraz rozmarzenia. Wyprostowała się, stała się sztywną, dobrze wychowaną żoną przyzwoitego i powszechnie szanowanego człowieka.

Uszli kilka kroków w milczeniu.

Lipowski czuł, że odpowiednia do wyznań chwila minęła, i przeklinał w myśli staruszkę, któremu zachciało się przechadzki po śniegu. Zjawił się jak widmo i spłoszył nastrój. Trzeba było znów wyczekiwać szczęśliwego momentu.

Ciszę przerwała Błońska.

— Cudnie w tym parku, ale na mnie już czas... Muszę do domu wracać — odezwała się ze smutnym uśmiechem.

— Już?

— Już, niestety...

— Niech pani jeszcze nie odchodzi, jeszcze raz obejdziemy park dookoła — prosił ją błagalnym głosem. Był podniecony i nie zwracał już uwagi na chłód, który mu dokuczał przed chwilą. Wiedział, że gdy wyjdą z parku, na ulicy, wśród ruchu i gwaru przechodniów nie będzie mógł tego wypowiedzieć, czem ją chciał upoić i rozmarzyć, a poczynił go trawić nerwowy niepokój, żeby to stało się już jak najprędzej. Przeszył ją omdlewającym spojrzeniem i powtórzył pokornym szepem:

— Raz jeden jeszcze... Ja bardzo proszę... Mam... wiele rzeczy pani do powiedzenia — dodał szybko, po chwilowym wahaniu.

Błońska jednak szła już ku wyjściu.

— Na ulicy mi pan powie, odprowadzi

mnie pan do domu przecież — odparła z nieokreślonym uśmiechem.

— Na ulicy tego nie można mówić.

— Czemu?

Lipowski odpowiedział jej smętnym uśmiechem na to pytanie. I posmutniał widocznie. Błońskiej żal się zrobiło rzeźbiarza, ale nie chciała zostać w parku. Przeczowała, była nawet prawie pewna, że Lipowski pragnie jej wyznać swą miłość i dlatego właśnie postanowiła wracać. Chciała jeszcze odsunąć tę chwilę, o której wiedziała, że nadejść musi. Świadomość ta jednak sprawiała jej żywą radość. Chłopak kocha się we mnie do szaleństwa — myślała z rozkoszą. I będąc przekonaną o swej wyższości, postanowiła ją wyzyskać. Wyobrażała sobie, że Lipowskiego pali namiętne pragnienie wypowiedzenia swych uczuć i to właśnie, że w takiej chwili musiał je stłumić, podobało jej się jako rzecz wysoce artystyczna. Obserwowała go nieznacznie, gdy szedł koło niej zamyślony, i naumyślnie nie odzywała się pierwsza.

A rzeźbiarz grał komedię smutku, co przychodziło mu tem łatwiej, że zaczynał uczuwać głód i z powrotem dotkliwie zimno w całym ciele. On również naumyślnie pierwszy się nie odzywał, czekając, żeby Błońska zapytała go o powód widocznej utraty humoru. Miał przygotowaną odpowiedź, piękny

frazes, po którym bardzo gładko poszłoby już całe wyznanie.

Pani Marya nie przerywała jednak ciszy. Milczący ten powrót do domu bardzo się jej podobał. Był nastrojowy i nie banalny. Rozkoszowała się zdaniem, które jej na myśl nagle przyszło „kwiaty uczucia wyrastają w ciszy“ i przejęta pięknem chwili, nie zwracała na rzeźbiarza najmniejszej uwagi.

Nie mówiąc ani słowa, doszli do domu, w którym mieszkali Błońscy. Dopiero przed bramą, podając rzeźbiarzowi na pożegnanie rękę, pani Marya odezwała się z tajemniczym uśmiechem:

— Mam nadzieję, że teraz będzie pan u nas częstszym gościem.

I na wyrazie „teraz“ położyła lekki nacisk.

Lipowski, który pochwycił w lot intonację jej głosu, spojrział na nią zachwycony, chciał coś powiedzieć, lecz zbrakło mu na razie wyrazu do wypowiedzenia swych nieokreślonych uczuć, więc uśmiechnął się tylko promiennie.

„Słoneczny uśmiech zastygł mu na ustach“ jak pomyślała pani Marya, niktąc w oszklonych drzwiach, które wiodły na schody.

Po odejściu jej, rzeźbiarz stał jeszcze przez kilka chwil przed bramą domu, jakby namyślając się, co ma dalej czynić.

Śnieg począł znów padać wielkimi płatami, które przylepiały mu się do twarzy. Wsiadł więc w sanki i pojechał na obiad.

Rozważając w miłej i ciepłej sali restauracyjnej przy filiżance czarnej kawy i kieliszku likieru to, co nazywał już w myśli swoim „stosunkiem“ z Błońską, uczuwał coraz żywsze zadowolenie wewnętrzne. Na ulicy zły był trochę na nią za to, że nie zadawała mu owego upragnionego pytania, które miało ułatwić mu wyznanie miłości, ale po namyśle przestał się Błońskiej dziwić. Zrozumiał ją. Pani Marya była zamyślona i milcząca, gdyż w jej duszy rozgrywał się dramat. Walka pomiędzy pochłaniającą ją namiętnością, a narzuconem przez tradycję i wychowanie poczuciem obowiązku.

— Musi się przełamać—pomyślał z subtelnym, poniekąd nawet demonicznym uśmiechem.

I z przyjemnością analizował w myśli duchowe rozterki Błońskiej. Uczuł nawet dla niej pewien rodzaj współczucia, tak słabą i bezsilną wydała mu się wobec jego magnetyzującej woli.

Czas upływał mu szybko na tych rozmyślaniach i gdy wyszedł, na ulicy zmierzch już zapadał.

Nie chciało mu się wracać do domu. Nadzieja przyszłych rozkoszy miłosnych, pod-

niecała mu nerwy i rozkołysała wyobraźnię. Czuł potrzebę gwaru i widoku ludzkich twarzy. Pociągał go zresztą sam widok oświetlonej ulicy, która tego wieczoru wydawała mu się jaśniejszą i weselszą, niż zwykle.

Szedł powoli z uśmiechem, rozglądając się dookoła. Po raz pierwszy od czasu powrotu do kraju, Warszawa podobała mu się naprawdę.

Nagle, jakby z pod ziemi, wyrosła przed nim ciężka postać Błońskiego. Spotkali się oko w oko, tak, że się musieli przywitać i wymienili przyjacielski uścisk dłoni. Rzeźbiarz był jednak tem spotkaniem zakłopotany nieco. Nie wiedział, czy pani Marya mówiła co mężowi o ich przechadzce po parku, czy też zachowała ją w tajemnicy. Prawdopodobniejszem wydało mu się, że nie mówiła nic—przez ten wstyd naturalny, jaki osłania każde rodzące się uczucie. I postanowił również nie wspominać nic o tem.

— Spiesz się pan dokąd?—odezwał się Błoński.

— Nie, dlaczego?

— Wstąpimy gdzie na kawę... pogadamy...

Lipowski spojrzał na niego podejrzliwie. Instynktownie czuł oddawna, że Błoński go nie lubił, stosunek ich był zimny, sztywny, konwencyonalny, rozmawiali ze sobą o tyle

tylko, o ile to było niezbędnem. Nagła więc chęć Błońskiego do pogadanki wydała się rzeźbiarzowi nienaturalną.

„Czyżby już co przeczuwał?“ — przemknęło mu przez myśl.

Ale zaproszenie przyjął.

— A owszem, wstąpmy — odparł, mierząc Błońskiego wyzywającym spojrzeniem.

I z niecierpliwą trochę ciekawością wy-
czekiwał początku tej rozmowy.

Błoński jednak, jak się niebawem okazało, dość szczególnie pojmował wyraz „pogadanka“. Bo, gdy usiedli w cukierni przy stoliku, zamyślił się głęboko, i ani słowem nie odzywał.

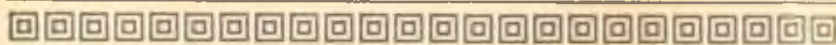
A rzeźbiarza denerwowało jego milczenie. Najfantastyczniejsze przypuszczenia snuły mu się po głowie. A może Marya — nazywał już w myśli żonę Błońskiego po imieniu — wyznała mężowi wszystko, nie mając siły do stłumienia w sobie namiętności, która ją pochłaniała.

Upłynęło dobrych dziesięć minut, a oni wciąż jeszcze siedzieli nawprost siebie w milczeniu.

Błoński ocknął się wreszcie z zadumy, ale rozmowa się nie kleiła. Widocznem było, że Błoński nie słuchał wcale rzeźbiarza i przez grzeczność tylko, podtrzymywał rozmowę, myśląc o czem innem.

Lipowski spostrzegł to szybko i pożegnał męża pani Maryi. Czuł, że wytworzyło się między nimi coś sztucznego i nienaturalnego, uważał to jednak za rzecz niezbędną.

— Ma się rozumieć — powtarzał w myśli inaczej być nie może... Ale był trochę zdenerwowany.



W domu dopiero pani Marya zauważyła, jak niepostrzeżenie upłynął jej czas w parku na nastrojowej przechadzce z rzeźbiarzem.

O całą prawie godzinę spóźniła się na obiad. Gdy weszła do stołowego pokoju, Błoński stał przy oknie i wyglądał na podwórze. Była to u niego nieomylna oznaka niezadowolenia. Ujrawszy żonę, w milczeniu wyciągnął z kieszeni zegarek i spojrzał na godzinę. I tym, nawpół obojętnym gestem rozdrażnił ją od razu do najwyższego stopnia. Nic pani Maryi tak nie denerwowało, jak ów biurokratyzm domowy—wypominanie jej każdego spóźnienia, jak gdyby była pensyonarką, która spóźnia się na lekcję. Wzruszając ramionami, odezwała się lodowatym tonem:

— Mogłeś nie czekać na mnie!

Błoński westchnął ironicznie. Wiedział, że gdyby sam był zasiadł do obiadu, pani Marya powitałaby ten objaw jego męskiej samodzielności cierpką uwagą:

— Mogłeś być na tyle delikatnym, żeby poczekać na mnie chwilę.

Głośno nie wypowiedział tego, lecz umieli oboje odgadywać swe myśli z westchnień i spojrzeń, bez pomocy słów.

To też pani Marya odparła odrazu z pogardliwym uśmiechem:

— Nie staraj się tylko być zbyt subtelnym. Powinieneś pamiętać, że to ci się nigdy nie udaje.

— Ach, tak...

— Ach, tak — powtórzyła, naśladowując intonację głosu męża.

Wejście do pokoju służącej, przerwało dalszą sprzeczkę i w posępnym milczeniu zasiedli do obiadu.

Oboje byli źli.

Po ustach pani Maryi wciąż się błakał ironiczny półuśmiech, który drażnił niesłychanie Błońskiego. Postanowił jej odpłacić ironią za ironię, i odezwał się po chwili:

— Powinnaś była wyjść za mąż za głuchoniemego.

— Zapewne. Oszczędziłoby mi to wielu głupich uwag.

— Jesteś wykwinna...

Pani Marya poczerwieniała zlekka. Umiała jednak zapanować nad swem rozdrażnieniem. Odparła głosem pełnym niewysłowionej słodczy.

— Proszę cię... Mów. Sądzę, że najlepiej będzie, gdy odrazu wyczerpiesz cały repertuar swej ironii. Wszak umiem go już chyba na pamięć. A ja będę mogła przynajmniej spokojnie dokończyć obiadu.

— Jabym też tego pragnął.

— Pocóż więc sobie przerywasz. Wogóle wysiłek umysłowy przy obiedzie jest podobno bardzo niepożądany.

— Skończmy już tę rozmowę.

Ostatnie słowa Błoński wypowiedział ostrym tonem i podniesionym głosem. Nie umiał już ukryć swej irytacji. W głębi duszy zazdrościł żonie zdolności panowania nad sobą i starał się ją naśladować, nigdy mu się to jednak nie udawało. Zwykle pierwszy tracił cierpliwość i wybuchał. Wytworny spór dyalektyczny, zmieniał się przeto odrazu w pospolitą, brutalną awanturę.

Pani Marya zmierzyła go lodowatym spojrzeniem.

— Tylko, proszę cię, nie krzycz — odezwiała się, cedząc powoli słowa.

Błoński nic jej nie odpowiedział.

I w pokoju zapanowało znowu posępne milczenie.

Zaraz po obiedzie Błoński wyszedł z domu. Był zdenerwowany i zgnębiony. Czuł dobrze, że jego stosunek do żony psuje się coraz bardziej. W ostatnich czasach, już dnia

nie było prawie, żeby nie dochodziło do sprzeczek, które nieraz przemieniały się w poważne kłótnie. I ta ciągła atmosfera nieporozumień, doprowadziła ich oboje do takiego przeczenia nerwów, że czasami najniewinniejsze, źle zrozumiane słowo, wywoływało burzę. W każdym odezwaniu się żony, Błoński dopatrywał się utajonego szyderstwa, a ją raził każdy jego wyraz, tępą, bezmyślną brutalnością. On to czuł, coraz częściej i poważniej zastanawiając się nad tem i począł wreszcie wierzyć w ironię przeznaczenia.

— Źle jest — powtarzał w duchu i nie mógł już odpędzić chłodnej, logicznej myśli, że będzie coraz gorzej.

Ujrzawszy wśród przechodniów Lipowskiego, podszedł ku niemu.

Szukał znajomych, chcąc rozmową rozproszyć przygnębienie, jakie go ogarniało pod wpływem smutnych myśli. Ale gdy usiedli w cukierni, nie wiedział, o czem ma z rzeźbiarzem rozmawiać, i rad był, gdy Lipowski odszedł wreszcie.

Jakiś czas siedział jeszcze w cukierni, przeglądając pisma. Potem wyszedł na ulicę i powlókł się przed siebie leniwym krokiem, z posępnie zwieszoną na piersi głową. Nieprzewyciężona nuda zaciążyła mu na duszy i wyjałowiła mózg.

Ktoś nagle zawołał za nim po imieniu.

Odwrócił szybko głowę i ujrzał kolegę szkolnego i przyjaciela z lat dziecinnych, Tomka Mazurowskiego.

W ostatnich czasach widywali się ze sobą bardzo rzadko, raz na parę miesięcy zaledwie, ponieważ Mazurowski, którego majątek był mocno nadszarpany, siedział przeważnie na wsi, i do Warszawy przyjeżdżał już tylko za koniecznymi interesami. Wogóle zresztą stosunki ich, bardzo niegdyś bliskie, od czasu ożenienia się Błońskiego ochłodziły znacznie.

Mazurowski nie mógł pojąć zmian, jakie zaszły w usposobieniu jego przyjaciela, i określał je po swojemu krótkim, dosadnym zdaniem:

— Baba zawróciła ci w głowie i koniec. Tem zraził do siebie Błońskiego.

W tej chwili jednak, ujrzawszy dawnego przyjaciela, Błoński zapomniał o wszelkiej niechęci, i serdecznie rzucił mu się w ramiona.

Ucieszyło go niezmiernie to spotkanie, ponieważ potrzebował towarzystwa takiego człowieka, jakim był właśnie Mazurowski. On jeden swoim niepodrabianym, wiejskim humorem mógł rozproszyć melancholię Błońskiego.

— Coś kiepsko wyglądasz—odezwał się, gdy się już wycalowali i wyściskali.— Wiem że żyjesz przykładowie w małżeńskim stanie, ale inaczej przypuszczałbym...

— Zdaje ci się — przerwał mu Błoński, uśmiechając się wesoło. — Rzeczywiście, dla ciebie, jak przyjedziesz ze wsi, wszyscy musimy tu kiepsko wyglądać.

Odrą poweselał.

Patrząc na czerwoną twarz Mazurowskiego, która tchnęła jakąś barbarzyńską pogodą i zdrowiem, doznał przelotnego wrażenia, że jego życie cofnęło się nagle o cztery lata wstecz, do owych dobrych, błogich czasów, kiedy nie przeczuwał nawet jeszcze, że można dążyć do udoskonalenia ducha przez sztukę.

Ujął przyjaciela pod rękę i zaciągnął go do pierwszej kawiarni, jaka się im nawinęła po drodze. Był tak ożywiony, że Mazurowski przyglądał mu się ze zdziwieniem. Przywykł był uważać Błońskiego za sensata, z którym już nawet — jak się wyrażał — po ludzku porozmawiać nie można. Tymczasem dziś Błoński mówił zupełnie po ludzku, wspominał kawalerskie czasy i to z takim humorem, że Mazurowski zanosił się od śmiechu.

— Wiesz co, Julku — odezwał się wreszcie, wyciągając do niego przez stół rękę — muszę ci powinszować. Widzę, że się otrząsałeś przecież z tej twojej literackiej manii, i że na nowo z tobą gadać można. Strasznie się z tego cieszę, bo mi żal ciebie było.

Błoński uśmiechnął się niewyraźnie.

Uścisnął rękę przyjaciela, ale nie mógł

się powstrzymać w myśli od uwagi, coby powiedzieli wszyscy jego znajomi ze świata literatury i sztuki, gdyby usłyszeli tę pochwałę szlagona. Uczuł zarazem, że entuzjazmując się wspomnieniami, odgrywa wobec siebie samego komedję. Naprawdę, już go to dawne życie nie nęciło, myślał o niem raczej z pogardą. Ale nie wiedział, czy ta pogarda jest w nim szczera, czy sztuczna.

„Papuga uczy się na pamięć, nie rozumiejąc wyrazów, a człowiek i uczuć może się nauczyć”—przyszło mu na myśl.

— Słuchaj—Mazurowski wyciągnął z kieszeni zegarek. — Mam być o szóstej u Geni Pałuszyńskiej. Obiecałem jej, że ją odwiedzę. Jedź ze mną.

— Dobrze — odparł machinalnie Błoński.

— Znasz ją przecie.

— Znam.

Błoński znał ową Genię jeszcze z tych czasów, gdy była młodziutką panną sklepową i stawiała pierwsze dopiero kroki na ponętnej drodze nieuczciwości. Później stracił ją z oczu. Nazwisko jej jednak nieraz obijało mu się o uszy. Genia była jedną z tych pierwszorzędných kokot, które znała cała Warszawa. A w świat wprowadził ją Mazurowski. Namiętnie kochał się w niej przez rok i kosztowało go to około pięćdziesięciu tysięcy rubli. Potem rozeszli się w zgodzie. Genia znalazła

bogatego opiekuna, Mazurowski znowu kochankę, pomimo to jednak nie mieli do siebie żalu, i—jak na cywilizowanych ludzi przystało, żyli w przyjaźni, opromienionej urokiem wspomnień. Mazurowski odwiedzał zawsze Genię w Warszawie i cenił w niej wysoko pewne zalety charakteru, które określał cudzoziemskim wyrazem „kultura“.

— Takiej dziewczyny i w Paryżu mogliby nam pozazdrościć — powtarzał.

W słowach tych był odcień patryotycznej dumy, szczerzej zresztą, bo uroda pięknej Geni cieszyła Mazurowskiego zupełnie tak samo, jak zdobycie Samosierry, wszechświatowa sława Sienkiewicza i Paderewskiego, lub to, że pierwszą kawiarnię w Wiedniu założył Polak.

Wsiedli do sanek.

Przez drogę Mazurowski nie przestawał rozpływać się w zachwytach nad swoją dawną kochanką:

— Ona teraz żyje z tym starym Kromickim... Wiesz... Dziad ledwo nogami rusza, a namiętny, jak wielbłąd. Ale Geńka sprytna, ho, ho... Zdaje mi się, że ona na to czeka, żeby go pochować. I że się obłowi przytem, to jak amen w pacierzu. Powiadam ci, że to dziewczyna na królewski dwór stworzona... Ją do Belgii posłać dla takiego Leopolda. Toby dopiero pokazała, co umie! Gdybym

tak wygrał na loteryi, albo dostał jaki spadek, odrazubym ją wziął z powrotem. Tylko, że to ludzie wciąż umierają, ale o takich, coby coś zostawili, to coraz trudniej... Zresztą i teraz, jakbym tylko chciał, każdej chwili przyszlaby do mnie chętnie, słowo honoru ci daję, ale nie chcę, nie uchodzi jakoś... Każdy pan za swoje trzy grosze...

Umilkł dla nabrania tchu i podniecony ulubionym tematem, ciągnął dalej:

— A wiesz, co ja najbardziej w niej cenię, to poczucie rasy. O, bo ona ją ma. Tam się pierwszy lepszy wzbogacony żydziak nie dostanie, choćby jej niewiem co ofiarował. Sama raz do mnie powiedziała: Ja tylko ze szlachcią... Ma dziewczyna ambicję...

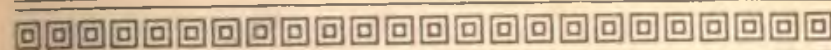
Sanki zatrzymały się przed bramą secesyjnej kamienicy.

— Ale wiesz co — odezwał się niespodzianie Błoński do przyjaciela.—Ja do niej nie pójdę, nie mam humoru.

I pomimo nalegań Mazurowskiego, nie dał się namówić do złożenia Geni wizyty.

— Waryat—pomyślał szlagon—żegnając się z nim.

Ostatecznie stracił wiarę w inteligencję Błońskiego.



— Pamięta pan—mówiła Błońska do Lipowskiego—ten dzień, parę tygodni temu, kiedyśmy się spotkali w parku Ujazdowskim... Właściwie powinien pan pamiętać, bo od tej chwili...

Urwała i nie kończąc rozpoczętego zdania, ciągnęła dalej szybko:

— Na mnie wywarło to niezapomniane poprostu wrażenie... Ten sad, otulony białym puchem śniegu... Ach panie, jakież to było cudne.

— Rzeczywiście... cudne! — potwierdził rzeźbiarz, bez zapалу jednak.

Artystyczne zachwyty Błońskiej pocynały go już nużyć.

Nie mógł się oprzeć myśli, że gdyby Błońska nic nie mówiąc, usiadła mu w tej chwili na kolanach, byłoby to znacznie przyjemniejsze i mądrzejsze, niż zachwycanie się wspomnieniami ośnieżonego ogrodu.

Marzył wciąż jeszcze o romansie z nią,

ale marzenie było wciąż jeszcze dalekie od urzeczywistnienia. Nie poszło tak gładko, jak to się Lipowskiemu pierwszego dnia, podczas przechadzki po parku wydawało. Stosunek ich pomimo, że trwał już półtora miesiąca, nie posunął się nic a nic naprzód. W pojęciu rzeźbiarza przynajmniej, dla którego coraz ściślejsze zespolenie duchowe było rzeczą najzupełniej obojętną. Cenił ideały i symbole, lecz tylko w sztuce, w miłości pragnął jak najpospolitszego realizmu. I na tem się zawiódł. Wyznał Błońskiej swe uczucie, ona również dała mu do zrozumienia, że nie jest dla niej obojętnym, ale gdy wreszcie nadeszła chwila, że się znaleźli sam na sam i rzeźbiarz chciał ją objąć w pół, usunęła mu się, tłumacząc, że tacy ludzie jak oni, natury przesubtelnione, miłujące piękno po nad wszystko — powinni szukać nowych, nie banalnych form miłości. Lipowskiemu zakrawało to na szyderstwo, nie porzucił jednak Błońskiej, ponieważ pomimo licznych stosunków, jakie miał w Warszawie, ona jedna była tą kobietą z towarzystwa, ku której mógł zwracać swe zapędy miłosne z jaką taką nadzieją zrealizowania marzeń.

To trzymało go przy niej. Pocieszał się myślą, że jego cierpliwość przewycięży z czasem estetyczne przesady Błońskiej. Rzeźbiarz miał dochody bardzo skromne, a zależało mu

na tem, żeby go uważano za zamożnego człowieka. Dlatego też musiał bardzo oględnie wydawać pieniądze. A ponieważ przy braku szczęścia do kobiet, posiadał krwisty temperament, więc płatna miłość pochłaniała znaczną część jego dochodów. Gdy mu zabłysła w duszy nadzieja romansu z Błońską, nie mógł się pozbyć myśli — co prawda myśl ta wydawała mu się niesmaczną — że stosunek ten da mu nie tylko rozkosze, ale i pozwole zaprowadzić pewne oszczędności. Tymczasem wszystko odsuwało się gdzieś w dalszą, mglistą przyszłość.

Tego popołudnia był zdenerwowany i rozgoryczony bardziej, niż kiedykolwiek. Umilkł i gryzł nerwowo papierosa. Z lampy, osłoniętej różowym abażurem, płynęło na pokój łagodne i przytłumione światło i ten różowy półcień drażnił mu zmysły. „Ostatecznie nie ma najmniejszego sensu — myślał — będę tu siedział do wieczora, a potem pójdę wyszukiwać kokot po kawiarniach. Albo, albo“.

I postanowił ostatecznie rozmówić się z Błońską.

Ona odgadła to instynktownie.

I nagle, podsuwając mu do ust rękę, odezwała się cichym, namiętym szeptem:

— Pocałuj.

Wpił się wargami w jej dłoń, a równo-

czesnie starał się objąć ją w pól i przyciągnąć ku sobie.

Wężowym ruchem wysliznęła mu się z objąć.

Skoczył za nią... poczęli się szamotać.

— Zmiłuj się, daj spokój!

Przestraszyła go się w tej chwili na prawdę. Zbladł, pot wystąpił mu na czoło, usta drżały konwulsyjnie. Chciał coś mówić, ale wyrazy więzły mu w gardle i tylko jakieś chrapliwe, niezrozumiałe dźwięki wydobywały się z ust.

— Musisz, musisz... wybełkotał wreszcie.

— Panie Lipowski...

— Ach, tak... panie Lipowski—roześmiał się ironicznie. — Otóż nie, nie...

Trzymał ją już mocno w objęciach i ustami szukał jej ust. Ale ona pochyliła głowę, przylgnęła mu twarzą do piersi, tak, że w twarz pocałować jej nie mógł. Począł ją całować po włosach i zapach ich doprowadził go do szału.

Przycisnął ją do siebie tak silnie, że nagle uczuła brak tchu.

— Mąż — syknęła zdławionym, przerażonym głosem.

Odruchowo puścił ją i odskoczył w tył.

Skorzystała z tej jednej chwili. Nim się opamiętał, już jej nie było w salonie. Znikła za drzwiami. Wówczas dopiero odgadł, że to

był podstęp z jej strony. Nastraszyła go mężem, żeby uciec.

Stał kilka chwil ciężko oddychając i oszłomiony jeszcze walką i zmysłowem podnieceniem. Ale swoją drogą Błoński również dobrze mógł być wrócić na tę chwilę do domu — przyszło mu na myśl.

Przejrzał się w lustrze i przeląkł własnego wyglądu. Oczywiście, gdyby tak wszedł, jeden rzut oka wystarczyłby mu, żeby się domyśleć wszystkiego. A potem awantura, pojedynek — i żeby jeszcze było się o co strzelać...

Poprawił włosy, zawiązał krawat, który podczas walki zesunął mu się z szyi i ochłonawszy, usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Teraz dopiero spostrzegł, że miał rękę skaleczoną. Wzdłuż całej dłoni biegła czerwona szrama.

„O jakąś szpilkę musiałem się zadrapać — pomyślał. Spojrzał niecierpliwie na drzwi, za którymi znikła Błońska. Upłynęło kilka chwil—Błońska nie przychodziła. Cicho zbliżył się do drzwi i począł nadśluchiwać.

W sąsiednim pokoju panowała zupełna cisza.

— Może zemdlą?

Zaniepokoiło go to przypuszczenie. A ostatecznie było możliwe. Po takim napięciu nerwów... Niech teraz Błoński wróci, to bę-

dzie ładna sytuacja. Raz jeszcze przejrzał się starannie w lustrze. Na nim nie było już znać śladów walki, ale jeśli Błońskiej się co stało, jeśli zemdląła, albo doznała ataku nerwowego, czem to wytłómaczyć? Ona również ubranie i włosy musi mieć potargane. Stał wciąż przy drzwiach, pochłonięty temi myślami, które go coraz bardziej denerwowały. Miał chęć uchylić drzwi i zajrzeć do sąsiedniego pokoju, ale go powstrzymywała nieokreślona obawa, że mógł tam ktoś być.

Upłynęło znów kilka dłuższych chwil. Błońska nie wychodziła. Cisza, panująca w mieszkaniu, zaczynała go drażnić. Żeby choć ktośkolwiek się pokazał, służąca z oznajmieniem, że pani zasłała.

„Cóż oni u dyabła powymierali wszyscy w tym domu“—pomyślał ze złością.

Spojrzał na zegarek i postanowił pięć minut przeczekać, a potem wyjść.

„Nocować tu nie będę przecież“ — mruknął.

Usiadł w fotelu i całą siłę woli wyteżył na to, aby odzyskać zimną krew. Ale czuł się bardzo nieswojsko.

Z przedpokoju doleciał go nagle stłumiony odgłos elektrycznego dzwonka.

— Błoński — zadzwoniło mu w mózgu i dreszcz go przeszedł.—Nie, to nie on, onby nie dzwonił, ma klucz od zatrzasku, ktoś z wi-

zytą—uspokoił się odrazu. W każdym razie gość przychodził bardzo nie w porę i Lipowski z niepokojem patrzył na drzwi.

Usłyszał odgłos kroków.

Na chwilę serce zamarło mu w piersiach.

Do pokoju weszła Błońska.

Miał zamiar powitać ją sztywnym, ironicznym ukłonem i wogóle w tym tonie poprowadzić rozmowę. Zemścić się, dając jej odczuć, że ostatecznie lekceważy sobie jej uczucia.

Ale Błońska weszła innemi drzwiami, a przytem ten dzwonek w przedpokoju tak go zasuggestyjonował myślą o czyjejs wizycie, że w tej właśnie chwili wejście jej zaskoczyło go zupełnie niespodziewanie.

Zerwał się z krzesła zmieszany, zaczerwieniony, jak dzieciak, którego przyłapano na gorącym uczynku.

Na twarzy Błońskiej nie znać już było ani śladu przebytych wzruszeń. W milczeniu usiadła na swoim poprzednim miejscu i po chwili, podnosząc ręce do skroni, odezwała się przytłumionym głosem:

— Jakżeż mnie strasznie głowa boli.

— Głowa, od czego?

Lipowski zapanował już nad swoim chwilowem zmieszaniem i chciał według powziętej myśli, ironizować.

Ale pani Marya nie zwróciła na jego pytanie najmniejszej uwagi.

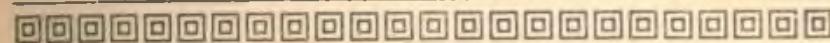
— Będę się musiała położyć... I dlatego serdecznie pana przepraszam, ale...

Wyciągnęła ku Lipowskiemu rękę.

Pocałował ją, ledwo dotykając ustami i wyszedł.

Miał wrażenie, że teraz nie ma już po co do Błońskich wracać.

Jego piękne marzenia o romansie rozwiały się, jak mgła. I schodząc po schodach, przeklinał Błońską.



— Wszystkie wy jesteście jednakowe — szepnął ze złością Lipowski, odpychając brutalnie młodą dziewczynę, która mu zastąpiła drogę.

Instynktownie przyspieszył kroku.

Ulica, w którą się zapuścił, była ciemna i odludna. Przyszło mu na myśl, że gdzieś czaił się zapewne urzędowy kochanek i opiekun dziewczyny, który mógł się ująć gwałtownie za jej honorem. Uszedłszy kilka kroków, obejrzał się. Nikt go nie ścigał, dziewczyna stała nieruchoma na skraju chodnika.

Dojrzał w świetle latarni, które padało na nią, wysmukłe, zgrabne kształty i zatrzymał się mimowoli.

Był jeszcze zdenerwowany przejściem z Błońską i nie mógł ochłonać. Bolało go upokorzenie, bo, bądź co bądź, było to upokorzenie. Ostatecznie Błońska wyrzuciła go za drzwi, bardzo grzecznie, ale za drzwi. Wychodząc, poprzysiągł w duszy, że już nigdy

nie przekroczy progu jej mieszkania. Potem przysięga ta wydała mu się zbyt zbytnią.

Próbował wytłómaczyć sobie opór Błońskiej obawą nagłego powrotu męża, ale gdyby tak było, to przecież rozstałaby się z nim była inaczej. Rzuciłaby mu na odchodnym jakieś szersze słowo: „Tam i tam się spotkamy“. A ona udała ból głowy. To każda pensyonarka potrafi.

„Strasznie mnie głowa boli“ — przedrzeźniał jej głos i nie mógł się oprzeć niemiłemu uczuciu, że on, tylko on wyszedł w całej tej sprawie na głupca.

— Bydlę — syknął przez zaciśnięte zęby.

Powtarzał to już po raz setny może. Wciąż—kiedy wałęsał się przez cały wieczór po ulicach i po kawiarniach, nie wiedząc, co ze sobą począć — wracało mu to słowo na myśl. I powtarzał je z całym przekonaniem, nie mogąc się otrząsnąć z wrażenia, że go haniebnie oszukano i wyzyskano. Pod wpływem rozgoryczenia, które przepełniało mu duszę, uczył głuchą niechęć do całego narodu.

„Tylko Polka może być zdolna do takiej zimnej kokieterii“ — myślał. — Każdą inną kobietę, Francuzkę, Niemkę, Turczynkę, Chinę, poniósłby temperament. Zapomniałaby nawet o niebezpieczeństwie w takiej chwili. Tylko nasze kochane Anielki, wyidealizowane przez

pana Sienkiewicza—nie! One zawsze umieją, nawet w szale, zachować poczucie taktu.

„Tak — westchnął zjadliwie — na całym świecie tylko Polki potrafią się wygadać i tem zaspokoić wszystkie pragnienia zmysłów. Sztuka, sztuka... Gdybym chciał sztuki, tobym poszedł do towarzystwa zachęty na wystawę, gdy chcę kochać...“

Nie dokończył w myśli rozpoczętego zdania, ale zawrócił i poszedł powoli w stronę dziewczyny, którą przed chwilą tak brutalnie odtrącił od siebie.

Ona stała wciąż nieruchomo pod latarnią.

Gdy się zrównali, zmierzyła go zacięciem spojrzeniem.

Odezwała się spokojnie:

— Pójdziemy?

Zraził go trochę jej warszawski, uliczny akcent. Ale głos miała młody i świeży. Szybko okiem znawcy ocenił jej stanowisko społeczne. Ubrana była bardzo biednie, w niezgrabny żakiet z pluszu, który miał naśladować futro.

I to powstrzymało go od odpowiedzi, bo zresztą podobała mu się od pierwszego wejrzenia. To, co zwalczał jeszcze w sobie, nie było już nawet estetycznym wstrętem, tylko wyrozumowaną teorią pewnego uczucia, które określił mianem godności ludzkiej.

Dziewczyna tłumacząc sobie jego waha-

nie według swego poglądu na świat, odezwała się po chwili zachęcającym tonem:

— Rubla.

Roześmiał się ironicznie. Wzruszająca jej naiwność rozbroiła go od razu. Tak to sobie wytłómaczył.

— Daleko mieszkasz?

— Tu zaraz. W drugim domu.

— Sama?

— We dwie. Ale tamta dziś nie wróci, poszła.

— Jak ci na imię?

— Bianka... — odparła z odcieniem dumy w głosie.

— Bianka... — powtórzył wesoło. — Bardzo piękne imię.

Pierwsze lody były przełamane.

Bianka, widząc, że ma do czynienia z człowiekiem, który żywi względem niej uczciwe zamiary, straciła od razu tę sztywność, jaka do tej chwili przejawiała się w tonie jej głosu i ruchach.

Ujmując Lipowskiego wpół, odezwała się pieszczotliwie:

— Ale daj kotku stróżowi za bramę, dobrze?

On się również ożywił. Myślał o Błońskiej. Z wyrafinowaną złośliwością wyobrażał sobie, jakich uczuć by doznawała piękna pani Marya, widząc go w tej chwili. Przecież

bardziej czyjejś miłości lekceważyć nie podobna.

„Ale trudno, trudno“ — powtarzał w myśli — „sama sobie winna“.

I cieszyła go zemsta.

Pnąc się po ciemnych, kuchennych schodach do mieszkania Bianki z lubością myślał, że Błońska w tej chwili tęskni pewno za nim i żałuje swego uporu. Nie roztkliwiło go to jednak wcale... Trudno...

Spędził noc całą u Bianki i wyszedł od niej dopiero nazajutrz koło jedenastej przed południem.

Żegnała go, jakby był jej rodzonym bratem i wybierał się w podróż naokoło świata.

Dzień był chmurny, ciemny i padał deszcz i Lipowski powróciwszy do pracowni, od razu położył się z powrotem spać na kanapie. Nie był usposobionym do pracy, ani do niczego wogóle. Cały dzień postanowił przespać.

Okolo trzeciej zbudziło go dość silne pukanie do drzwi. Nie otworzył. Nie chciało mu się ani wstawać, ani tembardziej nikogo u siebie przyjmować. Ale nie mógł już zasnąć z powrotem i leżał z otwartymi oczami na kanapie, pełen obrzydzenia do wszystkiego: do ludzi, do sztuki, do życia. Jednakowy niesmak budziła w nim myśl o sentymentalnych westchnieniach Błońskiej, jak i o namiętnych uściskach Bianki.

Dopiero o zmierzchu głód zmusił go do wyjścia na miasto. Zjadł w restauracyi obiad i znów nie wiedział, co ze sobą począć. Czuł, że nic go tego wieczoru nie zajmie. W końcu przyszło mu na myśl, że najlepszym jeszcze sposobem rozproszenia nudów było odszukanie Bianki. Postanowił ją sprowadzić do siebie do pracowni i urządzić w domu kolację.

— Zabawimy się w rodzinny nastrój.

Coraz bardziej ten pomysł zaczynał mu się podobać. Ostatecznie poprzedniej nocy Bianka wywarła na nim bardzo miłe wrażenie. Miała temperament ognisty, a przytem była wesoła, inteligentna i sprytna. Nietylko pieszczoty, ale i rozmowa z nią sprawiała mu przyjemność. Spodziewał się przytem, że w jego pracowni dziewczyna zyska jeszcze na uroku.

Nie namyślając się dłużej, wsiadł w drożkę i pojechał do niej.

Niestety, Bianki nie było w domu. Przyjaciółka jej, brzydka, chuda dziewczyna, która mu otworzyła drzwi kazała mu z widoczną niechęcią w głosie szukać Bianki na ulicy.

Obszedł parę przyległych ulic, ale nigdzie Bianki spotkać nie mógł. Musiał wreszcie zrezygnować ze swoich zamiarów. — Zniechęcony wrócił powoli na Nowy Świat do kawiarni, w której spodziewał się znaleźć kogoś ze znajomych.

Spotkał Mazurowskiego.

Znali się wprawdzie bardzo mało, ponieważ raz jeden tylko spędzili kilka chwil ze sobą w towarzystwie Błońskiego, który ich zapoznał—ale Lipowski przysiadł się do szlagona. Zbyt już dokuczyła mu samotność.

Mazurowski powitał go bardzo przyjaźnie.

— Cóż u pana słyhać dobrego?

— Nic, a u pana?

— Także...

— To doskonale się składa—podchwycił wesoło Mazurowski.—Będziemy mogli razem narzekać. U Błońskich często pan bywa?

— Owszem, dość...

— Prawda, pan jest artystą—dodał Mazurowski takim tonem, jak gdyby chciał raczej powiedzieć: „Co mam z głupim gadać“.

Dotknęło to niemile rzeźbiarza. Odpark zimno:

— Więc cóż z tego?

— Potraficie się z panią Maryą zrozumieć.

— Nie bardzo—odparł Lipowski z ironicznym uśmiechem. Sprawilo mu to przyjemność, że mógł o Błońskiej coś złośliwego powiedzieć.—Pani Marya jest zbyt... jakby to się dobrze wyrazić, nadobłoczna... Aby ją zrozumieć, trzeba być duchem.

Mazurowski parsknął śmiechem. Tem

jednem zdaniem rzeźbiarz odrazu ujął go za serce.

— Widzę, że pan nie jest pedant.

— Ja? Bynajmniej.

— Ładna, co? — zmienił nagle Mazurowski rozmowę, wskazując rzeźbiarzowi oczami przechodzącą obok ich stolika kokotę w czerwonym palcie z wielkim białym futrzanym kołnierzem. Jaskrawy strój zwracał na nią uwagę wszystkich gości w kawiarni.

— Znam ją—odparł Lipowski niedbale.— To Niemka, nawet inteligentna dziewczyna. Była podobno nauczycielką gdzieś w kowieńskiej gubernii. Potem wziął ją na utrzymanie jakiś Moskal.

Mazurowski trącił rzeźbiarza nogą, wskazując mu nieznacznie wzrokiem na siedzącego przy sąsiednim stoliku oficera.

Herkulesowych kształtów szlagon znany był z awanturniczego usposobienia. Najulubieńszym rodzajem jego rozmów, zwłaszcza przy kieliszku, były wspomnienia rycerskich chwil życia, w których bił po pysku u siebie na wsi żydów i parobków, a mieście kelnerów i dorożkarzy. Wogóle nie ustępował nikomu, chyba, że ten ktoś nosił mundur, choćby policyjny, lub był hrabią, choćby rzymskim. Tytuł i mundur działały na niego onieśmielająco.

Tego wieczora Mazurowski się nudził.

Miał zamiar rozkosznie przepędzić czas u Geni Pałuszyńskiej, w ostatniej jednak chwili otrzymał od niej bilecik z zawiadomieniem, że przyjmując go nie może, ponieważ urzędowy jej opiekun na dziś właśnie upomniął się o swoje prawa. Osierocony, poszedł do kawiarni i myślał nad tem, czemby przyjemne chwile — które go ominęły — zastąpić.

Rzeźbiarz, który życzliwie go już do siebie usposobił, zjadliwą uwagą o Błońskiej, podbił go ostatecznie znajomością szczegółów z prywatnego życia inteligentnej kokoty. I postanowił zaprosić go na kolację.

Lipowski przyjął to zaproszenie bez wahania.

Rozmowa ich przybierała coraz bardziej przyjacielski ton i po godzinie mówili ze sobą tak, jak gdyby się znali od szeregu lat.

Lipowski, który nigdy wogóle nie pijał i miał bardzo słabą głowę, uczuł po kilku kieliszkach przedziwne rozmarzenie. Język plątał mu się w ustach i czuł niepohamowaną chęć zwierzenia się przed Mazurowskim ze swego romansu z Błońską. Miał jednak jeszcze na tyle przytomności, że się powstrzymywał od wymieniania nazwisk. Mazurowskiego bawiło to i wciąż dolewał mu winą, zmuszając do picia.

Nazajutrz w południe, Lipowski obudził

się ze strasznym bólem głowy w mieszkaniu Bianki.

W pierwszej chwili nie umiał sobie wcale zdać sprawy z tego, gdzie się znajduje i błędnym wzrokiem rozglądał się po pokoju.

Dopiero Bianka, zanosząc się od śmiechu, opowiedziała mu, że przyszedł do niej nad ranem, do nieprzytomności pijany. Nie pamiętał tego wcale. Nie mógł też pomimo rozpaczliwych wysiłków umysłu, przypomnieć sobie, gdzie i kiedy rozstali się z Mazurowskim. Świadomość stanu, w jakim się znajdował, napełniała go przerażeniem. Nie chciał wypytywać się już Bianki o szczegóły. Drażnił go jej głos i bezmyślny śmiech, który mu przypominał skrzeczenie żaby. Ona i wszystko w tym pokoju przejmowało go wstrętem i pragnął uciec jak najszybciej, ale brakło mu siły, żeby się podnieść z łóżka. Czuł dziwny bezwład w całym ciele. Nagle krew uderzyła mu do głowy. Przypomniawszy sobie, że będąc pijany opowiadał Mazurowskiemu o Błońskiej.

Przymknął oczy i rozpaczliwym ruchem wtulił twarz w poduszkę.

— Będiesz spał jeszcze? — usłyszał po chwili głos Bianki.

Nic jej nie odpowiedział.

— Bo to już późno — dodała zniecierpliwionym tonem.

— Która godzina? — jęknął głucho, nie odrywając głowy od poduszki.

— Pierwsza.

— Pierwsza? — powtórzył siadając na łóżku.

Zaczynał odzyskiwać powoli przytomność umysłu i siłę woli, starał się zwalczyć osłabienie, które go obezwładniało. Westchnął i nadymając policzki, zamyślił się głęboko.

— Dziś czwartek? prawda? — odezwał się nagle.

— Czwartek.

— Tak... to dziś!.. — krzyknął rozpaczliwie.

— Co takiego? — zadziwiła się Bianka.

— Mam dziś o trzeciej wizytę w pracowni — skarżył się płaczliwym głosem. — Ładnie będę wyglądał.

Zerwał się z łóżka, i drżąc z nerwowego chłodu, z gorączkowym pośpiechem, zaczął się ubierać. Potem przejrzał się w lustrze i na płacz mu się zebrało. Skrzywił się tak boleśnie, że Bianka parsknęła śmiechem.

Spojrzał na nią wściekły.

— Z czegoż ty się śmiesz?

— Nie wolno mi? — odparła wyzywająco.

Zdusił w gardle przekleństwo i kończył się ubierać.

O nic nie chodziło mu już w tej chwili,

tylko ten jego nieszczęsny wygląd. Twarz mu żółkła, oczy nabiegły krwią, zapadły w głąb. Dość raz było spojrzeć na niego, aby odgadnąć wszystko. Ładnie się ludziom przedstawi. A dziś właśnie, pomiędzy trzecią a czwartą popołudniu, miały go odwiedzić w pracowni dwie damy z arystokracji, które ceniąc wysoko jego talent, zapragnęły też bardzo poznać „interieur“, w którym tworzył.

Od paru dni przygotowywał się do tej wizyty, chcąc, aby i pracownia i on sam wywierały wrażenie możliwie najartystyczniejsze. Przeczuwał zamówienie. I przygotowywał się do swej roli jak aktor, układał w myśli efektowne frazesy o sztuce, studyował przed lustrem ruchy.

Teraz ogarnęło go zniechęcenie zupełne.

— Z taką gębą — powtarzał w duszy, wyobrażając sobie, jaką odrazą napelni obie hrabiny jego zapijaczony wygląd.

Chwilowo miał zamiar napisać list i odwołać te odwiedziny pod pozorem choroby. Ale na wykonanie zamiaru nie mógł się zdecydować. A jeśli się obrażą i już nie przyjdą wcale?

Pojechał do domu, tam umył się raz jeszcze, przebrał jak najstaranniej i czekał, klęcząc w duchu siebie, Błońską i Mazurowskiego. Wszystkie zabiegi toaletowe i środki rzeźwiące, jakich używał, nic mu nie pomogły.

Głowa bolała go strasznie, że nieomal oczu otworzyć nie mógł. I zdawało mu się, że tę noc odchoruje śmiertelnie.

Zmierzch już zapadał, gdy Lipowski, który przechodził piekielne męki, walcząc z chorobliwym znużeniem i sennością, usłyszał wreszcie w korytarzu, wiodącym do drzwi jego pracowni, odgłos kroków i szelest sukni kobiecych.

One!!

Serce zabiło mu gwałtownie, zerwał się na równe nogi z fotelu, i układając w myśli efektowne zdanie, którem miał obie panie powitać, zbliżył się ku drzwiom. Rad był nawet, że jego damy tak się opóźniły. O zmierzchu pracownia przedstawiała się nieporównanie bardziej nastrojowo niż we dnie, a on sam to jeszcze zyskiwał, że jego nieszczęśliwy wygląd po pijaństwie i nieprzespanej nocy, mógł być mniej rażącym. Rzeźbiarzowi bardzo na opinii arystokratek zależało, gdyż wiedział, że złe wrażenie może pociągnąć za sobą utratę spodziewanego zamówienia.

Strasznie go to gniewało, gdy schorowany, musiał wyczekiwać przez całe popołudnie wizyty i jeszcze niczem się nie zdradzić, że nie ma humoru, że jest senny, że głowa boli go aż do utraty przytomności nieomal.

— Gdybym był szewcem — klął w duchu — a one miały parę butów u mnie zamówić —

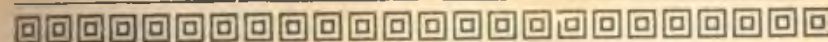
wieć, położyłbym się jak najspokojniej spać i wcale im drzwi nie otworzył, przyszłyby jutro...

Usłyszawszy jednak odgłos kroków pod drzwiami, szybko stłumił w sobie bunt ducha.

Po chwili rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Z rozkosznym uśmiechem pobiegł otworzyć.

I cofnął się osłupiały.

Na progu pracowni stała Błońska.



W pierwszej chwili własnym oczom wierzyć nie chciał. Zdawało mu się, że to halucynacja pod wpływem gorączki i nieludzkiego zmęczenia.

Potem nagle przelotna radość rozjaśniła mu myśli. Błońska u niego, po tej scenie, jaka się między nimi rozegrała... A więc tryumf, przychodzi sama, upokorzona. Ale było to bardzo krótkotrwałe uczucie. Ból głowy, znużenie, a przede wszystkim obawa, że lada chwila mogą nadejść „hrabiny“, pomimo, że się spóźniały, rzeźbiarz nie stracił jeszcze nadziei, że przyjdą — zamać mu radość.

Oslupiały patrzył na nią ze zdziwieniem, nie wiedząc, jak ją powitać.

— Pani — wybełkotał wreszcie.

Błońska weszła do pracowni, teatralnym ruchem zamykając za sobą drzwi.

— Jestem.

Wymówiła to jedno słowo tonem tak

uroczystym, że rzeźbiarz nie mógł już wątpić ani chwili, że pani Marya przychodzi do niego, jako kochanka, aby mu się oddać.

A więc to, o czym marzył od lat—stało się. Nie czuł jednak ani radości ani nawet zadowolenia z tej myśli—raczej niesmak.

Gorączkowo nasłuchiwał, czy kto nie idzie po schodach. I nie wiedział co począć z Błońską. Najprościej było przeprosić ją, że spodziewa się odwiedzin i nie może jej przyjąć, miał już te słowa na ustach, ale się powstrzymał, bojąc się, aby pani Maryi nie zrazić. A nuż nie przyjdzie drugi raz...

Lipowski umiał nad swemi uczuciami panować i wiedział, że ani ból głowy, ani znużenie, nie będą prześladowały go wiecznie, że gdy się wyśpi porządnie i wstanie wypoczęty, nazajutrz znów będzie pełen ochoty do życia i tęsknoty miłosnej.

Przez chwilę milczeli oboje.

W pracowni było już ciemno. Teraz dopiero Lipowski zdał sobie sprawę, że jego „damy“ już dziś nie przyjdą. Wyczekiwał na nie, nie licząc się z tem co możliwe, a co nie. Wczorajsze pijaństwo zamroczyło mu mózg. Oczywiście, gdzieżby włączyły się po nocy—powtórzył w myśli, i to go uspokoiło trochę. Odpadła przynajmniej obawa jednej niemiłej komplikacji.

— Przez całą noc nie spałam—odezwiała się Błońska romansowym, bolesnym szeptem.

— I ja także—pomyślał cynicznie rzeźbiarz, ale głośno nie wypowiedział tego. Zorientował się już w sytuacji i postanowił poddać się zrządzeniom losu...

„Dobrze się nawet stało, że tamte nie przyszły“—myślał—„bo nie potrafiłbym być wcale z niemi gadać“.

Instynktownie czując, że nastrojowa chwila milczenia zbyt długo się przedłuża, pochylił się ku Błońskiej i pocałował ją w rękę. Ale w chwili, gdy się pochylił, głowa zaboląła go tak strasznie, że aż mu pociemniało w oczach. Pochwycił się rękami za skronie.

— Uspokój się, usiądź — szepnęła cicho Błońska.

Ujęła go za rękę i podprowadziła do kanapy.

Słyszając, że pani Marya mówi mu „ty“, rzeźbiarz czuł, że w tej chwili należałoby ją chwycić w objęcia i okryć pocałunkami. Ale potem nie miał ani chęci, ani przedewszystkiem siły. Całą jego istotę wypełniało jedno pragnienie—spać. Ale do tego nie mógł się Maryi przyznać. Zły był na nią w duszy i przypisywał wyłącznie jej winę swych cierpień.

Ostatecznie, gdyby nie jej głupi upór poprzedniego dnia, nie byłby się upił jak

„ostatnie bydlę“ — wciąż mu to realistyczne określenie wracało na myśl i co najważniejsze, nie narażałby zdrowia. Bo do istotnych cierpień Lipowskiego przyłączała się jeszcze niemiła obawa, czy się nie przeziębził i czy nie odchoruje poważnie swych przygód nocnych.

Skoro pani Marya postanowiła mu uleść, to czyż nie wszystko jedno już jej było uczynić to o dwadzieścia cztery godzin wcześniej?

Rzeźbiarz wiedział, że dusza kobiety pełną jest sprzeczności i zagadek, ale w danym razie tłumaczył sobie psychologię pani Maryi, tylko czysto kobiecym kaprysem. Nie dziś, lecz jutro, bo mnie się tak podoba. I ostatecznie utrwaliło to w nim przekonanie, że Błońska jest skończoną histeryczką. Jak one wszystkie zresztą — dodał melancholijnie w myśli.

To wszystko jednak były teorie, które na razie nie miały praktycznego zastosowania.

Lipowski myślał, jakby się z niemiłej sytuacji wykręcić, i nie tracąc Błońskiej, odłożyć wyznania do bardziej odpowiedniej chwili.

A pani Marya siedziała obok niego na kanapie z przymróżonemi oczami. Przepęniała ją uczucie nieokreślonej rozkoszy. Gdy rzeźbiarz się poruszył, położyła mu dłoń na ustach i odezwała się miękim, pieszczotliwym szeptem:

— Siedź, siedź, nie rusz się i nie mów. Jakaż cudna chwila.

Lipowski zgodził się na ten rozkaz z chęcią.

Zaświtała mu w duszy nadzieja, że jeszcze wszystko może dobrze się skończyć. „Hrabiny“, które go dziś zawiodły, przyjdą jutro, a i Błońska zacznie przychodzić. Ujrzawszy ją, obawiał się, że będzie zmuszony do burzliwych przejawów namiętności, czego by w tym stanie, w jakim się znajdował, nawet udawać nie potrafił. Widząc jednak, że Błońska jest romansowa, postanowił przystosować się do niej i być poetycznym.

Dziś wyjątkowo mu to dogadzało. Po chwili oparł głowę na ramieniu Błońskiej i odezwał się półgłosem:

— Tak mi dobrze.

Nie kłamał! Było mu rzeczywiście znacznie wygodniej siedzieć w tej pozycji, tylko znów rozpaczliwie musiał walczyć z sennością.

Zdawało mu się, że gdyby mógł był zasnąć w tej chwili na kolanach Błońskiej, za to jedno pokochałby ją naprawdę na całe życie.

Znając obyczaje domowe Błońskich, pocieszał się myślą, że pani Marya będzie musiała wyjść przed ósmą, żeby się nie spóźnić na kolację. Ale nie był tego pewien. Nieoczekiwane zupełnie przyjście Błońskiej do

pracowni, utrwaliło w nim przekonanie, że po pani Maryi można się wszystkiego spodziewać. A jeśli pod pierwszym lepszym pozorem zapowiedziała w domu, że nie powróci na wieczór i zechce siedzieć u niego do dwunastej.

— Dlaczego nie uprzedziłaś mnie, że przyjdiesz? — odezwał się nagle, postanowiwszy ją wybadać.

— Sama nie wiedziałam do ostatniej chwili — odparła Błońska.

Mówiła to szczerze.

Wychodząc popołudniu z domu, naprawdę nie wiedziała jeszcze, że przyjdzie do Lipowskiego.

Do zmierzchu chodziła po mieście rozgądkowana, zdenerwowana, z wypiekami na twarzy. Wzruszenie jej było tak widoczne, że ludzie oglądali się za nią. Nie zwracała na to uwagi. Po raz pierwszy w życiu było jej to obojętne, co kto z przechodniów może o niej pomyśleć. Poprzedniej nocy nie spała wcale. Tak jej było w mieszkaniu duszno i ciasno, że tylko siłą woli tłumiała w sobie szaloną chęć, która ją popychała, żeby się ubrać i wyjść na miasto. Powstrzymywał ją od tego raczej wzgląd na stróża, któryby musiał jej bramę otwierać, niż na męża. Błoński spał zresztą jak zabity. Jego spokojny, równy oddech, który miarowo, jak tykotanie

zegarka, rozlegał się po sypialni, napełniał ją niewypowiedzianym wstrętem.

— Śpi, jak baran — myślała, mierząc go pogardliwym spojrzeniem.

A jej paliła się dusza. Wspomnienie przelotnej chwili, kiedy uczuła, że traci oddech w uścisku Lipowskiego, owionęło ją ciepłem rozkosznego wstydu. Czowała, że gdyby to wszystko działo się gdzieindziej, nie w ich mieszkaniu, gdzie Błoński lada chwila mógł nadejść niespodziewanie, wówczas nie miała by siły, żeby się dłużej rzeźbiarzowi opierać. Zwiśla by mu bezwładnie w ramionach — przypomniało jej się, że Lipowski miał oczy zupełnie obłąkane — a on chwycił by ją wpół i poniosł jak dziecko. Krew uderzała jej do głowy. W podnieconej wyobraźni majaczył się przed nią obraz miłosnego upojenia.

Zaciskała gorączkowo oczy, tłumiała oddech, chcąc jaknajdłużej zatrzymać tę wizję w duszy.

— Szał, szal — szeptało jej coś w mózgu.

Wciąż ją prześladował ten wyraz, gasł i zapalał się wśród myśli, jak błędny ognek. Lipowski naprawdę rzucił się na nią, jak obłąkany — szal go obłąkał i chciał ją pojąć przemocą. To było i dziwne, i straszne, i rozkoszne.

Uczuła nagle szczery żal, że nie opanowała wówczas nerwów, rozstała się z nim.

tak chłodno. Banalny instynkt moralności — zgrzytnęła jej szydercza myśl w mózgu. Cóż on winien temu, biedny chłopak, że się zakochał w niej do niepamięci, że go doprowadziła do zmysłowego szaleństwa. Dotychczas miłość Lipowskiego cieszyła ją tylko — przyjemnie jej było czuć, że on, artysta, wyróżnił ją z pośród tłumu wszystkich innych kobiet, wiedziała, że jej pożąda i radowało ją to właśnie, że jego pragnienie pozostawało wciąż niezasycone. Myślała czasami, budząc się w nocy: „nie śpi, tęskni za mną“. I to poczucie przejmowało ją samą dreszczem tęsknoty. Wyobrażała sobie chwilę, w której odda się Lipowskiemu, ale to miało nastąpić dopiero kiedyś później, marzenie nie podniecało w niej zmysłów, tylko fantazyę literacką, z której snuła bajkę o prawdziwej, pięknej miłości.

I zdawało jej się, że tak będzie zawsze, że rzeźbiarz przejmie się rolą, jaką mu wyznaczyła w myślach, i choćby lata całe potrafi czekać na wysniony pocałunek.

I nagle wstyd jej się zrobiło tej płytkiej mieszczańskiej kokieterii. Czuła, że coś przetwarzalo się w jej duszy. Z chaosu pogmatwanych wizyj wyłaniały się nowe idee, myśli, które jak błyski rozświecilały jej umysł. Wszystkie były tak proste i naturalne, że aż ją podziw zdejmował, że dotychczas mogła tego nie wiedzieć. Ugrzęzła przywiązana do męża

w szarem, banalnym życiu i szukała dla swej tęsknoty ujścia w sztuce. To ją zawiodło, musiało zawieść, napełnić zniechęceniem, rozgoryczeniem, spowodować brak wiary we własne siły. Jej przeznaczeniem było tworzyć życie, tak je układać, aby każdy dzień snuł się jak czarowna, kolorowa bajka.

Temi myślami doprowadzała się do ekstazy.

— To jest moje przeznaczenie — powtarzała rozgorączkowana, snując się nazajutrz po mieście przed przyjściem do Lipowskiego. Wierzyła, że idzie do Lipowskiego bezwiednie, zahipnotyzowana jego namiętnością jak medium na skinienie hipnotyzera.

Wstępując na schody drżała jak w febrze, gorączkowe wypieki paliły jej twarz.

Ale kiedy znalazła się już w pracowni obok niego, uczuła nagle zniechęcenie i niesmak. Gra wyobraźni tak jej zmęczyła nerwy, że nie była już zdolną do zdania sobie sprawy, czy to wszystko było szczere czy też tylko komedia, którą odegrała wobec siebie samej. Nie chciała już o tem myśleć. Sztucznie starała się podtrzymywać w sobie dawny nastrój, nie udawało się to jej jednak. Czuła, że Lipowski z każdą chwilą staje się jej coraz bardziej obojętnym, to, że siedzieli przytuleni do siebie, nie tylko nie wywierało na nią najmniejszego wrażenia, ale zaczynało ją nużyć,

głowa rzeźbiarza coraz dotkliwiej ciążyła na jej ramieniu.

— Jakaż cudna chwila—powtarzała uporczywie w myśli, rozglądając się po ciemnej pracowni, w której mroku tajemniczo bieleły się odlewy gipsowe prac Lipowskiego, ale powtarzała to bez przekonania. Zaczynały ją męczyć chłodne, ironiczne refleksye.—Czyż nie byłoby najrozsądniej wrócić teraz do domu—zadaleko posunęłam komedye.

— Nie, nie — broniła się rozpaczliwie, w mojej duszy rozegrał się naprawdę dramat.

I ten ciągły, chaotyczny wir myśli tak ją zmęczył, wyczerpał, że w końcu ogarnęła ją wściekłość.

— Niech się dzieje co chce... aby nie myśleć.

Odręczając gwałtownie Lipowskiego, zerwała się z kanapy.

— Bierz mnie, bierz mnie... — wyszeptwała stłumionym głosem.

Rzeźbiarz chwycił się rękami za skronie i spojrzał na nią przerażony.

PROTEKCJA.

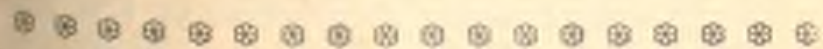
Właściciel kantoru, w którym pan Ewaryst Winkiewicz od trzech lat pracował, uciekł z pieniędzmi klientów za granicę i wskutek tego Winkiewicz znalazł się najniespodziewaniej w świecie bez posady. Gorączkowo musiał więc szukać jakiegokolwiek zajęcia, żeby mieć z czego żyć. Było to zadanie nie łatwe, gdyż nie posiadał wpływowych stosunków i nie mógł liczyć na niczyje poparcie. Dał ogłoszenie do pisma, przedstawiając się społeczeństwu, jako „młody człowiek z dwoma językami i pięknym wyrobionym charakterem, także na maszynie“ i przez pewien czas zgłaszał się codziennie do kantoru administracyi ze stereotypowem zapytaniem, czy nie ma oferty „sub. E. W. 18“. Cyfrę ową dodał do inicjałów, ponieważ przynosiła mu szczęście. Ofert jednak nie było. Panna, która przyjmowała interesantów w kantorze, wysoka, szczupła blondynka, z uszami zatkanymi watą,

jakby dla usymbolizowania losu, który bywa głuchy na westchnienia biedaków, poszukujących pracy — po pewnym czasie przestała się nawet do niego odzywać. Gdy go tylko spostrzegła w progu, odrazu poczyniała trząść przecząco głową, przyczem w oczach jej — jak się przynajmniej Winkiewiczowi zdawało — migał błysk złośliwego zadowolenia. Drażniło go to i w końcu przestał się ogłaszać.

Koledzy, u których mieszkał, doradzali mu to już oddawna coprawda, utrzymując, że nie warto wydawać na ogłoszenia pieniędzy, bo zajęcie można dostać tylko przez protekcję. Jeden z nich zapoznał Winkiewicza z pewną wdową po byłym obywatelu ziemskim, która między innymi zajmowała się i stręczeniem posad. Wdowa jednak chciała z góry pięćdziesięciu rubli na koszt i o ten szkopuł układy odrazu się rozbiły. Na pociechę Winkiewicz dowiedział się w parę dni później od kolegi, że wywarł na staruszce bardzo miłe wrażenie i że z wielką sympatją dopytywała się o niego.

Tymczasem tygodnie mijały niepostrzeżenie i sytuacja Winkiewicza stawała się coraz groźniejszą. Zdawał sobie doskonale z tego sprawę, ale był bezradny. — A to się zaczęło — powtarzał z apatycznym uśmiechem i ogarniało go jakieś niewypowiedziane zdumienie przed złośliwością losu. Miał około

stu rubli, które uskładał w ciągu trzech lat na poprzedniej posadzie i z tego żył. Początkowo sam fakt, że narusza swoje oszczędności, gorzką zgryzotą napelniał mu duszę, ale z czasem przestał i o tem myśleć i obliczać tylko, na jak długo może mu jeszcze pieniędzy wystarczyć. Wyliczenie było bardzo proste, ale i bardzo smutne, bo mimo, że Winkiewicz głodził się i wszystkiego sobie odmawiał, pieniądze rozchodziły mu się z nieprzewidywaną szybkością. Trwoga przed nędzą wpędziła go w melancholię. Nie mając co robić, całymi dniami włóczył się po ulicach i myślał — myślał aż do obłędu, gdzieby jaką protekcję wynaleźć.



Pewnego dnia wstąpiwszy po południu do kawiarni na herbatę z ciastkami, która coraz częściej zastępowała mu obiad, Winkiewicz zauważył, że jakiś elegancki młodzieniec, który siedział przy sąsiednim stoliku, bardzo bacznie mu się przyglądał. Zasłonił się więc gazetą, ale czuł nerwowo, że sąsiad nie spuszcza z niego oczu. Zmieszało go to trochę, obejrzał się nieznacznie od stóp do głów, w końcu znecierpliwiony zmierzył groźnem spojrzeniem natręta. W tej samej chwili tamten podniósł się z miejsca i zbliżył się ku niemu z uśmiechem.

— Pan Winkiewicz.

— Tak.

— Nie poznajesz mię?.. Maliński.

— Maliński! — krzyknął radośnie Winkiewicz. I w tej chwili dopiero przypomniał sobie zupełnie dokładnie dawnego kolegę z pierwszej klasy. Maliński, czerwony, pucłowaty, siedział na trzeciej ławce koło okna.

Przywitali się bardzo serdecznie i poczęli nawzajem o swoje losy wypytywać.

Maliński mieszkał na wsi i w Warszawie bawił tylko przejazdem. Winkiewicz zrazu odpowiadał mu wymijająco, ale później, ujęty serdeczną prostotą, zwierzył mu się ze wszystkich swoich zmartwień. Dawny kolega słuchał go z widocznym współczuciem i w końcu przyrzekł, że mu protekcję wynajdzie. Potem zaprosił go na kolację z której Winkiewicz powrócił dopiero nad ranem, pełen wiary w przyszłość i ochoty do życia. Ale kiedy się parę godzin przespał i obudził ze strasznym bólem głowy, opadło go najczarniejsze zniechęcenie. Tak już był wogóle przeciwnościami losu zastraszony, że się bał liczyć na obietnicę kolegi.

Minęło parę dni, Maliński się nie pokazywał i po całym tym spotkaniu Winkiewiczowi został tylko ostry żal w sercu do dawnego kolegi za złudne przyrzeczenia. Pewien był, że Malińskiemu wszystkie obietnice wy-

wietrzały już z głowy. Zawód po chwilowej nadziei był tem dotkliwszy i przygnębił Winkiewicza do reszty. Przestał już nawet wychodzić z domu, bo go denerwował widok przechodniów na ulicy, a zwłaszcza myśl, że każdy z tych ludzi, którzy go mijali obojętnie, spieszył do jakiegoś określonego celu, miał zajęcie i ustalony byt.

Całymi dniami przesiadywał więc w domu, odcytując dla zabicia nudy „Wzór listów we wszystkich okazjach życia“. Była to jego ulubiona książka. Kiedy ją czytał otwierały się przed nim dalekie marzeniowe perspektywy. Niektóre listy zwłaszcza, jak np. „Do hrabiny z podziękowaniem za zaproszenie na obiad“, budziły w nim mgliste przeczucia jakiegoś życia, promieniejącego szczęściem.

Tydzień upłynął od czasu jak się spotkali z Malińskim. Winkiewicz przestał się już najzupełniej łudzić obietnicami kolegi, gdy nagle pewnego ranku Maliński zjawił się niespodziewanie u niego.

— Mam coś dla ciebie — krzyknął od progu.

Winkiewiczowi aż tchu ze wzruszenia zabrakło.

— Osieł ze mnie! — krzyczał Maliński, — ze mi to już wtedy do głowy nie przyszło. Ale wiesz, jak to bywa. Czasem się najprostszej rzeczy zapomni.

I ponieważ jechał na kolej i dorożka czekała na niego na dole, więc pośpiesznie w paru słowach opowiedział koledze o co chodzi. Miał znajomych, a nawet dalekich krewnych, bardzo pocziwych staruszków, niejakich państwa Szyszkowskich. Owóż ten Szyszkowski, który posiadał bardzo liczne i rozległe stosunki, a przytem był dobrym i uczynnym człowiekiem, napewno będzie mógł coś znaleźć.

— Mówiłem im o tobie—kończył już we drzwiach Maliński — obiecali, że się zajmą. Chcą cię tylko przedtem poznać... Jak się staremu podobasz, sprawa załatwiona. A, najlepiej zacznij wymyślać, że te wszystkie nowe domy, które stawiają w Warszawie, to tylko brzydzą miasto, to pasya starego... Odrazu go sobie tem ujmiesz za serce!

I zbiegł po schodach, nie słuchając serdecznych podziękowań Winkiewicza, którego dobra nowina oszołomiła najzupełniej. Potem ogarnął go szal niepohamowanej, żywiołowej radości. Jest — jest — jest — począł śpiewać, tańcząc po pokoju. Pierwszy raz po dwóch miesiącach zjadł ze spokojnem sumieniem obiad, nie czyniąc sobie wyrzutów, że można by zaoszczędzić wydatek. Do Szyszkowskich miał się zgłosić w niedzielę o drugiej po południu. Otóż do niedzieli pozostawały jeszcze dwa dni i gdy Winkiewicz ochłonał z pierw-

szego wrażenia radości, czas począł mu się dłużyć tak nieludzko, że nie mógł sobie nigdzie miejsca znaleźć. Jak błędny, chodził przez te dwa dni po mieście, układając wciąż i cyzelując swoją rozmowę z Szyszkowskim. Uwaga kolegi o pasyi staruszka zapadła mu głęboko w duszę. Doświadczenie wyrobiło w Winkiewiczu pewnego rodzaju filozofię życiową, której podstawą było przekonanie, że w stosunkach z ludźmi przedewszystkiem chodzi o to, aby każdego umieć „na coś wziąć“. I skoro wiedział na co „wziąć“ Szyszkowskiego sprawa już była jakby nawpół wygrana.

Wreszcie niedziela nadeszła.

Winkiewicz obudził się o szóstej rano i zdenerwowanie nie dało mu już zasnąć z powrotem. O dziewiątej był ubrany i najzupełniej gotów do wyjścia. Potem znów się rozebrał i położył do łóżka, chcąc się zmusić do snu i w ten sposób skrócić wyczekiwanie. Koło południa zdjęła go obawa, czy zegarek jego dobrze chodzi, wyszedł więc na miasto, aby to sprawdzić. Dla zabicia czasu chciał zjeść obiad, ale wzruszenie odebrało mu zupełnie apetyt. Zasiadł więc w kawiarni i począł studyować ogłoszenia w zagranicznych ilustracjach.



Państwo Szyszkowscy mieszkali w staroświeckiej kamienicy. Kiedy Winkiewicz wszedł na schody, owionęła go woń wosku i terpentyny. Witrażowe okna z czerwonych, żółtych i fioletowych szybek, tłumiły światło i w sieni panował uroczysty półmrok. Winkiewiczowi serce biło tak mocno, że na drugim piętrze musiał się zatrzymać dla nabrania tchu.

Nieśmiało zadzwonił.

Drzwi otworzył mu sam pan Szyszkowski, szczupły, czerstwy staruszek i powitał go odrazu tak przyjaźnie, jakby dawnego dobrego znajomego. Winkiewicza tak to rozrzewniło, że o mało się nie rozplakał. Najbardziej właśnie się obawiał tej pierwszej chwili powitania. W chwilę potem do salonu weszła pani Szyszkowska, siwiuteńka staruszka, z rysów twarzy zadziwiająco podobna do męża. I ona również bardzo życzliwie przywitała się z Winkiewiczem. Wiedząc już oczywiście od Malińskiego o jego kłopotach macierzyńskim tonem zaczęła go odrazu pocieszać, mówiąc, że przeciwnościami nigdy nie należy się zrażać, ponieważ kto ma prawdziwą chęć do pracy, ten zawsze zajęcie znajdzie.

Winkiewicz olśniony był przyjęciem, przewyższało ono najśmielsze jego marzenia. Staruszkowie byli niesłychanie prości, ujmujący, serdeczni, tak, że po paru minutach roz-

mowy, Winkiewicz począł się już czuć jakby u krewnych. Mimo to jednak w głębi duszy wciąż niepokoiła go myśl, czy wrażenie, jakie na nich wywiera, jest aby dostatecznie dobre. I pamiętając o „pasyi“ starego, niecierpliwie wyczekiwał sposobności, by móc wtrącić parę zjadliwych słów o nowych kamienicach warszawskich i tem ująć sobie Szyszkowskiego do reszty.

— Gdzie pan mieszka?—zapytał go nagle staruszek.

Winkiewicz wymienił swój adres i dodał szybko:

— To jest nowy dom. Te wszystkie nowe domy, które teraz budują w Warszawie, to tylko szpecą miasto.

Szyszkowski spojrzał na niego z zacięciem.

— Tak pan sądzi?

— Zdaje mi się.

— Słyszysz, Tereniu, — roześmiał się Szyszkowski, zwracając się do żony. — No, no — dodał — to rzadka rzecz, żeby młodzieniec w pańskim wieku miał takie poglądy.

— A co najsmutniejsze—ciągnął rozpromieniony Winkiewicz, — to to, że tam podobno stała dawniej bardzo przyzwoita kamienica i niewiadomo po co ją zburzyli.

— Tak — potwierdził Szyszkowski.

Winkiewicz czuł, że rozmową tą zaskar-

bia sobie życzliwość staruszka. Nie chciał jej więc przerywać i gorączkowo myślał, coby móc jeszcze powiedzieć na ten temat.

Szczęśliwa myśl błysnęła mu nagle.

— A pan dobrodziej nie pamięta, w którym roku przebudowano ten dom? — zapytał z akcentem takiej niecierpliwej ciekawości w głosie, jak gdyby zagadnienie to męczyło go oddawna.

Szyszkowski się ożywił.

— Ja historię każdego domu w Warszawie mógłbym panu opowiedzieć z najdrobniejszymi szczegółami — odparł. — Tam, gdzie pan teraz mieszka, stała dawniej kamienica rejenta Pilarskiego. Na dole była apteka i skład wędlin. Tereniu, jak to się ten rzeźnik nazywał?

— Wilczek.

— Tak, tak, tak... Wilczek — ciągnął Szyszkowski, ożywiając się coraz bardziej, — otóż ten dom zburzono w roku 1878.

— W siedmdziesiątym szóstym — poprawiła go żona, uśmiechając się łagodnie.

Szyszkowski, któremu uwaga ta przerwała tok słów, zachnął się niecierpliwie.

— Ale co też ty mówisz... Nie w siedmdziesiątym szóstym, tylko w siedmdziesiątym ósmym. Mnie już pamięć napewno nie myli.

— A przed chwilą zapomniałeś, jak się rzeźnik nazywał.

Szyszkowski poczerwieniał. Zmierzył żonę przeciągłym spojrzeniem i wycedził przez zęby:

— Mogę zapomnieć, jak się jakiś głupi rzeźnik nazywał, ale w datach nie pomyłę się napewno... Nigdy w życiu nie pomyliłem się jeszcze.

Pani Szyszkowska roześmiała się pobłażliwie.

— No, no, no...

— Tereniu — proszę cię...

— Bo dlaczegóż dajesz panu fałszywe informacje?

Sprzeczką poczęła przybierać rozmiary, które zatrwożyły Winkiewicza.

Odezwał się pojednawczo.

— Wszystko jedno.

— Wcale nie wszystko jedno — odbruknął opryskliwie Szyszkowski. — Gdybym nie był pewien tego co mówię, tobym się nie upierał. Ale ja historię Warszawy znam na palcach... Na palcach — powtórzył, pochylając się groźnie ku Winkiewiczowi. — Dom ten zburzono w roku 1878.

— A jabym sobie głowę dała uciąć, że to był w siedmdziesiątym szóstym.

— Tak — roześmiał się ironicznie Szyszkowski.

— A tak.

Szyszkowski uderzył nagle pięścią w stół z taką siłą, że aż lampa się zachwiała i albumy z fotografiami podskoczyły do góry. I krzyknął na całe gardło.

— Tereniu, nie doprowadzaj mię do pasyi.

— Mógłbyś przy panu awantur nie robić — odparła wyniośle Szyszkowska.

I z obrażoną miną wyszła z pokoju.

W salonie zapanowało przykre milczenie. Szyszkowski rozdrażniony do najwyższego stopnia, odwrócił się do okna i począł wyglądać na ulicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na Winkiewicza, który zmieszany i przerażony, podniósł się z krzesła i stał, nie wiedząc, co ze sobą począć. Szyszkowski pomrukiwał z cicha coś pod nosem i nagle odwrócił się do Winkiewicza.

— A też dyabli panu do tego, w którym roku przebudowano ten dom — odezwał się opryskliwie, wzruszając ramionami.

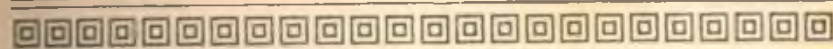
— Ja najpokorniej szanownego pana przepraszam — zaczął cicho drżącym głosem Winkiewicz, ale rozirytowany staruszek nie dał mu dokończyć.

— Bo co pana to może obchodzić, co panu na tej wiadomości zależy — krzyczał, wymachując ręką tuż przed twarzą Winkiewicza, który stał pokorny, drżący, z oczami utkwionemi w ziemię.

— Do widzenia—odezwał się nagle opryskliwie, podając Winkiewiczowi dłoń na pożegnanie.

Winkiewiczowi krew uderzyła do twarzy. Chciał coś jeszcze na swoje usprawiedliwienie przytoczyć, ale głosu zabrakło mu w gardle. Oszolomiony, uściśnął lekko końce palców staruszka i cicho wysunął się do przedpokoju. Na schodach przystanął i wyjrzał przez witrażowe okno na podwórze. Świat przedstawił mu się w tęczy barwach.

PSEUDONIM



○ dziesiątej rano Stach wyszedł na miasto i błąkał się po ulicach, przystając raz po raz przed wystawami sklepowymi dla zabicia czasu. Trawiła go gorączka niecierpliwego wyczekiwania: w tym dniu—była to sobota—wychodziły pisma tygodniowe i koło południa można już je było mieć w kawiarniach. Stach przesłał był jednemu z tygodników sześć swoich sonetów i z niepokojem wyczekiwał odpowiedzi. Oczywiście najprościej było zasiąść w kawiarni i czekać spokojnie na przyniesienie pism. Złożyło się jednak tak fatalnie, że Stach tego dnia właśnie nie miał ani grosza przy duszy. Musiał więc użyć podstępu: wpaść do kawiarni na chwilę, zakręcić się, udając, że kogoś szuka i przelotem przejrzeć pisma nie siadając przy stoliku, coby odrazu ściągnęło do niego kelnera z niemilami, choć wynikającymi z najlepszych intencji pytaniami. Dlatego nie mógł wchodzić do kawiarni za-

wcześnie i musiał wyczekiwać na ulicy odpowiedniej pory.

Drażniło go to. Pominąwszy, że czas bynajmniej się do przechadzek nie nadawał—dzień był dżdżysty, przesycony wilgocią, stokroć bardziej denerwowało go samo wyczekiwanie i pewien komiczny fałsz sytuacji z którego przykro mu było zdawać sobie sprawę. Stach wierzył bardzo w swój talent, ale mało miał zaufania do sumienności uznanych powag redakcyjnych. Przekonany był, że tym panom, którzy zajmowali po redakcjach dobrze płatne synekury, nie chciało się poprostu wierszy jego czytywać i tym tłómaczył sobie owe lakoniczne formuły: „Nie zamieścimy“, „Do zwrotu“, lub zgoła inpertynenckie „Do kosza“, które stale widywał złączone z pseudonimami swymi w rubrykach odpowiedzi najrozmaitszych pism codziennych i tygodniowych. Oburzało go to, boć ostatecznie sam znał się na literaturze nie gorzej od niejednego urzędowego krytyka i oceniając wiersze swe na zimno, jak gdyby chodziło o czyjeś cudze utwory, nie mógł nie zdawać sobie sprawy, że nietylko nadawały się one do druku doskonale, ale były o całe niebo lepsze od mnóstwa wierszy drukowanych po pismach. Tylko, że tamte, były to utwory poetów „uznanych“, to znaczy należących do kliki, a on stosunków nie posiadał i nie potrafił się kłaniać.

Niepowodzenia swoje trzymał jednak w najściślejszej tajemnicy. O tem, że posyłał wiersze do pism nikt z przyjaciół jego nie wiedział. Wynikały ztąd nawet ciągle nieporozumienia. W małym kółku literacko-artystycznym, w którym Stach przewodził, namawiano go wciąż, aby zaczął drukować, on jednak na wszystkie namowy i zachęty odpowiadał pogardliwym wzruszeniem ramion, głosząc dumną zasadę, że prawdziwi artyści nie tworzą dla tłumów, ale dla własnej królewskiej rozkoszy tworzenia. Kłamstwo to budziło czasami przykry rozdzwiek w jego duszy, w tych chwilach zwłaszcza, gdy wysyłając przepisane na czysto utwory jakiejś redakcyi, wyobrażał sobie jakie miny mieliby jego koledzy, gdyby go na tem byli przyłapali, ale z drugiej strony było ono też tarczą dla jego ambicyi i, co ważniejsze w gronie przyjaciół zyskiwało mu szczery podziw, większy może nawet niż znakomite wiersze. Miał opinię arystokraty ducha.

Z coraz większem zdenerwowaniem Stach wyczekiwał decydującej chwili. Było już dziesięć minut po jedenastej. Postanowił przeczekać jeszcze dwadzieścia minut do wpół do dwunastej. O tej porze można już było napewno liczyć na to, że się „Sztukę“ w kawiarni znajdzie. O ile tylko jak na złość ktoś go nie uprzedzi i nie weźmie jej do czytania

Stach przewidywał wszystkie najgorsze możliwości, a ostatnie minuty ślimaczyły się nie-
możliwie wolno. Sytuację utrudnił sobie jeszcze przesądem, który mu nagle urodził się w mózgu, że jeśli wejdzie do kawiarni wcześniej, choćby na minutę, to znów albo odpowiedzi nie będzie, albo będzie odmowna.

A tym razem odpowiedź odmowna byłaby fatalną, ile że podpisał wiersze i list pseudonimem, pod którym znany był w gronie przyjaciół. Stach bowiem mimo, że nie jeszcze nie drukował, posiadał pseudonim po prostu dla zachowania konwenansów literackich. Pseudonim ów brzmiał „Helios“, nie podpisywał nim nigdy wierszy, które był rozsyłał redakcyom, żeby się na wypadek odmowy przed kolegami nie zdradzić, użył go dopiero ostatnim razem pod wpływem chwilowego podniecenia i żałował tego teraz, ale już było zapóźno. Wszyscy koledzy jego czytawali pilnie rubryki odpowiedzi redakcyjnych i odmowa pod adresem Heliosa niepostrzeżenie przejść nie mogła... Musiałby się tłumaczyć, wykręcać... Na myśl o tem tak mu się zrobiło gorąco, że aż palto odpiął, pomimo słoty i przejmującego deszczu.

Duży zegar, zawieszony nad wystawą sklepową zegarmistrza wskazał nareszcie wpół do dwunastej. Przez wyrafinowane okrucieństwo nad własną duszą, Stach zwolnił kroku

i postanowił poszukać drugiego zegara, aby sprawdzić, czy i tamten będzie wpół do dwunastej wskazywał. Potem nie mogąc już dłużej nad nerwami panować, wpadł, jak gdyby goniąc kogoś, do kawiarni i rzucił się na numer „Sztuki“, który na szczęście leżał wolny na stole. Poszukawszy rubryki „odpowiedzi od redakcyi“ począł ją gorączkowo przebiegać oczami. I nagle poczerwieniał. Najwyraźniej czytał: „Heliosowi. Nadesłane nam wiersze z przyjemnością zamieścimy. Prosimy o osobiste porozumienie się w godzinach redakcyjnych“. Przeczytał raz, drugi i stał jak wryty nie wypuszczając numeru pisma z rąk, aż go kelner obudził z zadumy.

— Pan już zamawiał?

— Nie, nie nie... Dziękuję, ja tylko szukałem kogoś — odparł pośpiesznie i wybiegł na ulicę, klnąc w duszy, bo zły był, że nie mógł pozostać dłużej i rozkoszować się jeszcze odczytywaniem tych dwóch wierszy druku, które w podnieconej jego wyobraźni stawały się jakimś złocistym symbolem sławy. Szedł przed siebie, mimowoli przyspieszając kroku, zesunął kapelusz z fantazyą z czoła i dumnym, wyzywającym spojrzeniem mierzył przechodniów.

— Wiecie wy filistry, kto ja jestem?

Nikt prawdopodobnie w tłumie nie domyślał się tego, bo mijano go dość obojętnie.

Ochłonawszy z pierwszego zawrotnego uczucia radości, Stach uczuł gwałtowną potrzebę podzielenia się z kimś dobrą wieścią. Postanowił puścić się na poszukiwania kolegów. Grono przyjaciół z którymi żył najbliższej składało się z dwóch młodych poetów, jednego malarza, dwóch uczniów szkoły dramatycznej, oraz młodzieńca o nieokreślonych aspiracjach, którego przezywano „dentystą“ ponieważ uczęszczał do szkoły dentystycznej. Był to szczupły, blady młodzieniec, który pomimo praktycznego kierunku wykształcenia nie zaniedbywał melancholii. Stach nie lubiał „dentysty“, uważał go w głębi duszy za człowieka upośledzonego nieco umysłowo, który przez snobizm czepiał się literatów i artystów, ale ponieważ przechodził koło kamienicy w której dentysta mieszkał, a niecierpliwość go paliła, postanowił wstąpić i podzielić się z nim nowiną.

Oczywiście przygotował się do odegrania pewnej, małej komedii. Musiał być konsekwentnym. Ponieważ na posiedzeniach koleżeńskich opowiadał zawsze, że nic mu na tem nie zależało, aby wiersze jego drukowano, nie mógł naraz przeto okazywać zbyt gwałtownej radości. Postanowił zacząć mówić o najobojętniejszych rzeczach, potem dopiero wtrącić mimochodem: „A wiecie... w „Sztuce“ będą moje wiersze... namawialiście mnie,

więc posłałem“. I wyobrażał sobie jakie wrażenie wywrze ta nowina na wszystkich. Obawiał się tylko, czy dentystę zastanie w domu. W ciemnym korytarzu, na czwartym piętrze, nie mógł zrazu drzwi odszukać. Wreszcie zapukał.

— Proszę.

Dentysta stał pośrodku pokoju, rozpromieniony z numerem „Sztuki“ w ręce. Ujrawszy kolegę, rzucił się ku niemu, chwycił w pól i począł ścisnąć z taką gwałtowną serdecznością, że to aż oszołomiło Stacha zupełnie. Dotychczas stosunki ich były raczej zimne i Stach pojąć nie mógł tego nagłego wybuchu.

— Wiecie — krzyknął nagle „dentysta“, zwracając się do stołu na którym leżał numer pisma — moje wiersze będą drukowane w „Sztuce“.

— Wasze wiersze? — odezwał się Stach podejrzliwym tonem. O wszystko byłby mógł posądzić dentystę, tylko nie o pisywanie wierszy. Niespodziewana ta wiadomość zbiła go z tropu zupełnie.

— Tak — roześmiał się tryumfalnie tamten. — Piszę, od dawna już piszę... Nie przyznawałem się tylko do tego, ale teraz, skoro przyjęli.

Urwał nagle i ściskając Stacha serdecznie za rękę odezwał się błagalnie...

— Nie będziecie się na mnie gniewali?

— Za co?

— Bo... ponieważ wy nie drukujecie i nie zależy wam na tem, więc ja te swoje wiersze, które posłałem, podpisałem waszym pseudonimem... Heljos. To taki pyszny pseudonim!

SERCEM ZA SERCE



Ubrany do wyjścia Kałuszkiewicz rozejrzał się smętnie po pracowni, jak gdyby chcąc obraz jej utrwalić sobie na długo w pamięci. Była to najlepsza pracownia, jaką w życiu swoim posiadał, poprostu wymarzona: z doskonałym oświetleniem, obszerna, ciepła, stosunkowo niedroga, malowało mu się w niej znakomicie i na myśl, że trzeba się będzie wyprowadzać, ogarniała go furja złości, tem boleśniejsza, że teoretycznie rzecz biorąc, nie było nic łatwiejszego, niż zostać w pracowni i nadal. Ot, poprostu rzucić kamienicznikowi w twarz kilkadziesiąt „głupich“ rubli, które malarz był winien za zaległe komorne, i wszystko ułożyłoby się jaknajlepiej. Ale Kałuszkiewicz wiedział już prawie napewno, że się nie ułoży... W dodatku drażniły go upokarzająco skromne rozmiary sumy.—Bo gdyby to o tysiące chodziło—mruczał, schodząc powoli po schodach—no, tobym rozumiał, ale o kilkadziesiąt rubli!...

Kaluszkiewicz był marzycielem. Malował wizye i żył w świecie snów i wyobraźni. Utrudniało mu to nieco oryentowanie się w rzeczywistości i gdy przed tygodniem, po dość burzliwej scenie na korytarzu przed drzwiami pracowni, gospodarz domu zapowiedział mu, że do soboty zgadza się jeszcze czekać, ale dłużej już ani chwili — malarzowi tygodniowy ów termin wydał się na razie fantastycznie wielkim. W tydzień nie znalazłby pieniędzy! Zmierzył kamienicznika pogardliwym spojrzeniem i odparł z tą lodowatą grzecznością, która przemienia ludzi w arystokratów:

— Nie potrzebuję całego tygodnia czasu. Zapłacę panu w piątek.

I rozstali się zadowoleni. Przynajmniej Kaluszkiewicz, który zastanawiając się nad tem, czego człowiek w ciągu tygodnia dokonać może, uspokoił się najzupełniej. Przez trzy dni cieszył się myślą, że ma jeszcze przed sobą mnóstwo czasu na wybrnięcie z kłopotu, rachuby jego przytem opierały się głównie na niespodziewanych uśmiechach fortuny, jak to: spadek, znalezienie bogatego mecenasa, któryby zakupił parę jego obrazów i t. d. Snuł na ten temat rozkoszne marzenia, w których zapłacenie komornego za pracownię było już tylko drobnym, nic nieznaczącym szczegółem. Równocześnie jednak czynił i „starania“. Ko-

lejno proponował wszystkim znajomym transakcye pieniężne, które polegały, a raczej miały polegać na obustronnem zaufaniu. Przyjmowano je bardzo życzliwie, ze zrozumieniem i współczuciem, ale rezultatu nie dały żadnego, gdyż wszyscy znajomi Kaluszkiewicza również jak i on sam mówili o dostatkach w czasie przyszłym i przeszłym. Krytycznym był zawsze ten krótki, przelotny moment, w którym poruszano kwestyę. I tak niewiadomo jak i kiedy tydzień zbiegł i nadeszła sobota. Kaluszkiewicz [po przebudzeniu długo leżał w łóżku, palił papierosa za papierosem i nie spieszyło mu się ze wstawaniem. Na pociechę zostawała mu już tylko myśl, że „przebież i w ostatniej chwili można jeszcze coś znaleźć“. Powtarzał ją uporczywie, ale już bez przekonania.

Wychodząc z domu, spotkał na dziedzińcu gospodarza. Kamienicznik uklonił mu się pierwszy z wyszukaną grzecznością i wyciągając dłoń na powitanie, odezwał się słodko:

— Ma pan?

— Właśnie idę po pieniądze — odparł Kaluszkiewicz niedbale.

Wyszedłszy przed bramę, przystanął i rozejrzał się, jak gdyby się namysławiając czy iść w prawo czy w lewo... Rozgoryczenie przepełniało mu duszę. — Warto żyć i pracować w takim społeczeństwie — monologo-

wał... Potrzebna im sztuka, rzeczywiście... Przechodnie przejmowali go wstrętem, na każdej twarzy widział piętno bezdenne filisterstwa i bezmyślności. Najgorszym było to, że nie mógł, jak zwykle, szukać ucieczki przed dręczącymi myślami w marzeniach, bo troska, która ciążyła nad nim jak z mora, była zbyt bliska i zbyt realna. Sześć miesięcy przemieszczał w pracowni i w głowie nie mogło mu się to pomieścić, że trzeba będzie się wynosić. Zgnębiony włókł się przed siebie bez celu, widocznie jednak nieświadomy jakiś instynkt duszy kierował jego krokami, gdyż po pewnym czasie znalazł się w bramie domu w którym mieszkał pewien jego znajomy, starszy człowiek, dość zamożny, który przy dobrych chęciach mógłby...

Kałużkiewicz nie poddawał się jednak złudzeniom. I nim nacisnął palcem dzwonek wahał się długą chwilę. Cóż? Ów znajomy (pan Tomaszynski, Tomasziewicz, czy Tomaszkowski, przemysłowiec czy coś w tym rodzaju) był takim samym filistrem jak inni, może gorszym. Ludzie tego pokroju instynktownie nienawidzą artystów... Skoro się dowie, że malarz jest w kłopotcie ucieszy się tylko w głębi duszy. Kałużkiewicz żałował już nawet, że zadzwonił... Ale drzwi, wiodące na schody, otworzyły się z cichym, metalicznym trzaskiem. Ostatecznie w braku czego

lepszego można było mydlarza odwiedzić, wyciągnąć na rozmowę o sztuce i zabawić się złośliwie, a o pieniądzach nie wspominać. Zwiewne marzenie znów przepłynęło Kałużkiewiczowi przez duszę... Gdyby to tak być hypnotyzerem, usiąść i patrzeć, patrzeć, patrzeć, ażby mydlarz wyciągnął pulares.

— Kiedyś może ludzie dojdą do tego — pomyślał, gdyż wierzył wogóle w przyszłość telepatyi.

Wszedł.

Tomaszynski przyjął go bardzo życzliwie, aż się malarz zadziwił.

— Skąd mu się na taką serdeczność zebrało.

Wgłębił się w fotel, zapalił cygaro, zauważył, że na ścianach obszernego gabinetu nie było ani jednego obrazu: fotografie, jakieś plany, ale sztuki ani śladu i roześmiał się złośliwie w duszy... — Ma się rozumieć, gdybym mu zaproponował kupno obrazu, skrzywiłby się i jęknął „Ciężkie czasy“. Sprawiała mu ta uwaga gorzkie zadowolenie. A Tomaszynski, niesłychanie serdeczny, rozplýwał się w podziękowaniach:

— Wreszcie kochany mistrz zdecydował się mnie odwiedzić.

Znali się już dość dawno, ale spotykali na mieście po kawiarniach. W mieszkaniu u Tomaszynskiego malarz był po raz pierw-

szy. — Komediant, myślał, patrząc na rozpromienioną zadowoleniem twarz gospodarza.

Rozmowa potoczyła się żywo. Podtrzymywał ją głównie Kałuszkiewicz, poruszając coraz to inne tematy, a o każdym tyle miał do powiedzenia, że Tomaszyńskiemu nie dawał prawie dojść do słowa. Ogarnął go jakiś paroksyzm wymowy, niepojęty, bo zwykle był małowówny i gdy chciał jakąś zawilszą myśl wyrazić, brakło mu często odpowiednich słów. Teraz te słowa nasuwały mu się same tak szybko, że aż chwilami musiał się powstrzymywać dla nabrania oddechu. Przemysłowiec od czasu do czasu wtrącał tylko jakiś urywany dźwięk, jakieś „tak“ czy „aha“, zresztą słuchał, kiwał głową, uśmiechał się, albo nawet parsknął głośnym śmiechem, a Kałuszkiewicz wciąż mówił i mówił, wyładowywując w ten sposób zdenerwowanie, którem przejmowała go myśl, że trzeba będzie jeszcze poruszyć i pieniężną sprawę. Minęła godzina, półtorej, na twarzy Tomaszyńskiego odbiło się lekkie zaniepokojenie i raz po raz ukradkiem, ale tak, żeby gość jego mógł to zauważyć, rzucił spojrzenia na zegar, stojący na biurku. Kałuszkiewicz dwa razy udał, że nie zauważył, ale za trzecim razem uczuł, że już dłużej udawać nie wypadało. Błyskawicznie zrezygnował w myśli z proszenia Tomaszyńskiego o pożyczkę, tłómacząc sobie, że na nicby się to

nie zdało, wstał, pożegnał się i będąc już przy drzwiach do przedpokoju, uśmiechnął się radośnie, jakgdyby jakaś szczęśliwa myśl, o której zapomniał już był zupełnie, wróciła mu do głowy i w nieoczekiwanie gładkiem zdaniu sformułował właściwy cel swojej wizyty.

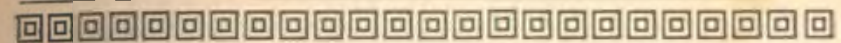
— Ależ panie, z największą chęcią! — krzyknął Tomaszyński, ocierając chustką pot z czoła.

I z gorączkowym pośpiechem wręczył malarzowi pieniądze. Kałuszkiewicza tak to oszołomiło, że stracił głowę. Wyszedł, nie podziękowawszy nawet Tomaszyńskiemu za pożyczkę. Zdał sobie z tego sprawę dopiero na schodach. Przykro mu było zwłaszcza, że zapomniał też naznaczyć terminu zwrotu długu. — Ale też jestem roztargniony — szepnął z wyrzutem. Po ujściu kilkudziesięciu kroków jednak niemiłe uczucia wywietrzały mu z głowy. Zastąpiła je myśl o tem, jakby się Tomaszyńskiemu odwdzięczyć — nie za pożyczkę, boć te kilkadziesiąt rubli mógłby być i gdzieindziej w ostateczności znaleźć, ale za piękne, prawdziwie artystyczne odczucie jego chwilowego kłopotu. — Zacny chłop, zacny chłop — powtarzał z coraz większym roztkliwieniem i żal mu było serdecznie, że nie mógł odrazu okazać mu w jakiś sposób swej przyjaźni i wdzięczności. Obraz posłać? Wydało mu się to niedostatecznem. Za serce trzeba

płacić sercem. Pragnął czynu jakiegoś, któryby Tomaszynskiego do łez wzruszył, przekonał, że jedynym mu naprawdę przyjaznym człowiekiem na całej kuli ziemskiej był tylko on, Kałuszkiewicz. Pragnienie to urosło mu w duszy do rozmiarów niepohamowanej żądz. Wyteęzał mózg, aż z chaosu podnieconych myśli wyłoniła się marzycielska wizya... Że Tomaszynski po stracie majątku, tknięty paraliżem, leży w przytułku... Wszyscy go opuścili, najbliżsi przyjaciele pozdradzali haniebnie. Wtedy dopiero on zajął się jego losem...

Dzień był piękny. Kałuszkiewiczowi nie spieszyło się do domu. Szedł powoli ulicą, mrużąc oczy przed migotliwym blaskiem słońca. Zdawało się, że po rynnach cieknie z dachów roztopione złoto. Wilgoć wyparowywała z murów i jakieś fałszywe tchnienie wiosny unosiło się w powietrzu. Bezlistne drzewa prężyły się ku słońcu, jakby w lubieżnych spazmach przelotnej, kradzionej rozkoszy. Zima odwróciła na chwilę zmęczone od deszczów oczy i słońce przypadło do miasta, jakby w szale długo tłumionej tęsknoty miłosnej. Kałuszkiewicz szedł i marzył, przeżywając w duszy wzruszającą scenę spotkania z Tomaszynskim w szpitalu...

WIZYE PRZYSZŁOŚCI



Niedziela.

Hr. Tołstoj dał utrwalić
sвій głos w fonografie.

Panna Ada spacerowała po pokoju, wyczekując niecierpliwie nadejścia narzeczonego. Stół nakryty już był do obiadu. Z niewielkiej lampy elektrycznej, zawieszonej u sufitu płynęło na pokój łagodne, złotawe światło do złudzenia imitujące blask słońca.

W wąskiej ulicy, zabudowanej olbrzymimi drapaczami nieba panował wieczny mrok. Naturalne światło dzienne można było mieć tylko na wyższych piętrach, ale też trzeba było i płacić za nie odpowiednio drogo. Panna Ada, która ze skromnej pensyi urzędniczki w fabryce sztucznego mięsa musiała utrzymać siebie i matkę nie mogła ani marzyć nawet o takim zbytku. Zajmowały obie skromne mieszkanko na pierwszym piętrze. Coprawda

światło elektryczne zastępowało najzupełniej blask słońca, tembardziej, że można je było regulować dowoli, nadając mu przeróżne odcienie: letni, zimowy, jesienny, ale panna Ada wzdychała wciąż za „prawdziwem słońcem“. Był to sentymentalny kaprys, wynikły z rozczytywania się w staroświeckich romansach z końca XIX i początków XX wieku, które stanowiły jej ulubioną lekturę.

Wogóle już z samego urzędu mieszkania można było odgadnąć odrazu, że obie jego właścicielki żyły pod sentymentalnym urokiem staroświeccyzny. Na jednej ze ścian wisiał duży, pożółkły od starości sztych, przedstawiający Sherlocka Holmesa, romantycznego bohatera XX stulecia, meble były secesyjne, w rogu pokoju stało archaiczne pianino, przypominające mechanizmem pierwotne maszyny do pisania. Był w tem wszystkim nieokreślony jakiś wdzięk, pełen prostoty i serdecznego ciepła.

Do pokoju weszła wysoka staruszka o włosach białych jak śnieg.

— Cóż to pan Karol nie nadchodzi? — odezwała się, spoglądając niespokojnie na córkę.

Panna Ada zmarszczyła zlekka brwi. Ale w tej samej chwili w przedpokoju rozległ się dzwonek. Twarz młodej panny rozpogo-

dziła się odrazu, jakgdyby promień światła po niej przeszedł.

— Jest! — krzyknęła z uśmiechem, w którym topniał tajony niepokój.



Pan Karol był buchalterem w mleczarni chemicznej. Zarabiał dużo, ale nie tyle jeszcze aby móc własny dom założyć, zwłaszcza że Ada, rozegzaltowana staroświeckimi romanсами wymogła na nim przyrzeczenie, że dzieci nie będą oddawali do wychowalni publicznych, tylko trzymali je przy sobie w domu. Młody buchalter rozkochany do niepamięci, gotów był zgodzić się na wszystko. Napróżno matka Ady, kobieta praktyczna i rozumna starała się wpłynąć na nią i wybić jej z głowy te kaprysy godne jakiegoś dygnitarza trustu. Dziewczyna ani słuchać rozsądnych rad nie chciała.

— Pomyśl, jakie ty obowiązki na niego wkładasz...

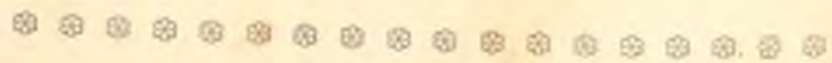
— Damy sobie radę mamó — odpowiadała Ada z odcieniem dumy w głosie.

Staruszka przestała nalegać wreszcie. W głębi duszy schlebiało jej to harde postanowienie córki. I wierzyła że młodzi dadzą sobie radę w życiu, bo pan Karol uchodził za ulubieńca samego Jelity-Salcsztejna, wszechpotężnego dyrektora mlecznego trustu. Przy

takiem poparciu można było ufnie spoglądać w przyszłość.

— W korcu maku dobraliście się—powtarzała z pobłażliwym uśmiechem, gdy wieczorem narzeczeni uprzyjemniali sobie czas głosem odczytywaniem dziwnych książek w których zdania nie miały najczęściej żadnego określonego sensu, ale zato wyrazy były tak ustawiane że raz po raz powtarzały się rytmiczne jedne i te same końcówki. Działo to usypiająco jak narkotyk i staruszcze zazwyczaj po chwili przysłuchiwania się takiej lekturze oczy mimowoli kleiły się do snu.

Panna Ada gasiła wówczas światło. Wyszperała w jakiejś starej książce, że w dawnych czasach narzeczeni lubieli przesiadywać po ciemku, co nawet w poetycznym języku prababek miało specjalną piękną nazwę nastroju...



Tej niedzieli pan Karol spóźnił się trochę na obiad i panna Ada przyjęła go z lekkim dąsem na twarzy, udając obrażoną. Ale nie długo te gniewy trwały. Pan Karol uśmiechnął się tajemniczo i wyciągając z kieszeni niewielki zwitek papieru odezwał się głosem z którego przebijało lekkie wzruszenie:

— Mam tu coś dla pani, co zdaje mi się powinno panią ucieszyć.

— Dla mnie?

Panna Ada, zapominając o dąsach, zbliżyła się ku niemu zaciekawiona.

— Cóż to takiego?

Buchalter powoli rozwinął papier. I śmiejąc się radośnie podał narzeczonej małeńki bukietik fiołków.

Panna Ada aż oniemiała w pierwszej chwili.

— Fiołki, prawdziwe fiołki — szepnęła po chwili podnosząc kwiaty do ust.

Nagle jednak jakby strwożona jakąś niespodziewaną myślą spojrzała badawczo na narzeczonego.

— Ale pan nie kupował ich chyba? — odezwała się z widocznym niepokojem w głosie.

— Owszem, kupilem.

— Ależ to szaleństwo! — wybuchnęła, wykonywując taki ruch, jakgdyby chciała rzucić fiołki na stół, nie wypuściła ich z ręki jednak.

— Nie, nie żartuję! — uspakajał ją narzeczoney ze śmiechem. Gdzieżbym kupował. Ale wie pani od kogo je dostałem?

— Niech też pan mnie nie dręczy temi zagadkami.

— Od szefa. Ofiarował mi je dla pani.

Słowa te wywarły piorunujące wrażenie. I przez cały czas obiadu o niczem innem nie

mówiono tylko o fiołkach. Były to ulubione kwiaty panny Ady. Przyniosła z sąsiedniego pokoju wielki pęk sztucznych fiołków i porównywano je z naturalnymi. Sztuczne były okazalsze i pachniały daleko piękniej. Pan Karol opowiadał, że żona dyrektora trustu pani Jelita-Salcsztejnowa przed paru dniami sprawiła sobie nową suknię cała poprzybieraną naturalnymi fiołkami. Kosztowało to miliony. Ada słuchała z tęsknym entuzjazmem w oczach.

Matka jej wzdychała tylko i kiwała w zamysleniu głową.

— Ale co w tych kwiatkach pięknego, dlaczego oni je tak przepłacają?

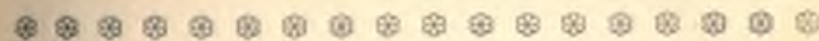
— Moda...

— W dawnych czasach płacono tak za brylanty — wtrąciła panna Ada. Przed stu laty toby miliony kosztowało, dodała bawiąc się sznurem dużych brylantów, który miała zawieszony na szyi.

— Ja tam wolę fabryczne fiołki — ciągnęła staruszka, przysuwając ku sobie wazonik z kwiatami. Pachną przynajmniej a i kolory mają ładniejsze.

Pan Karol przyznał jej słuszność. Ostatecznie i panna Ada, porównywując kwiaty, musiała się zgodzić, że to przepłacanie kwiatów naturalnych było tylko kaprysem milionerów.

— Mają za dużo pieniędzy i nie wiedzą co robić z nimi!.. — westchnęła staruszka.



— Dokąd pojedziemy?

— Do Panteonu.

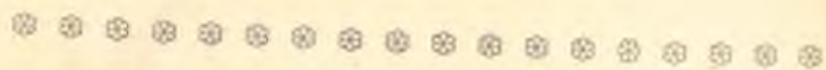
— Doskonale.

Panna Ada krzątała się po pokoju ubrana już do wyjścia, Popołudnia niedzielne narzeczeni spędzali razem stale na spacerach. Zwiedzali muzea, lub też udawali się aeroplanem na dalekie powietrzne wycieczki. Najulubieńszemu muzeum panny Ady był Panteon w którym zakłute w fonografach żyły głosy wszystkich bohaterów ludzkości.

— No, ja już jestem gotowa — odezwała się po chwili, zwracając się do narzeczonego.

Wsiedli w windę i po chwili znaleźli się na ulicy. Chodnik biegł po płaskich dachach kamienic. Rojno było na nim i gwaro, gdyż całe tłumy spacerowiczów niedzielnych dążyły do przystani aeroplanów. Każdy starał się w niedzielę przyspieszać śniadanie, aby jak najprędzej wyjechać w powietrze. Nad miastem krążyły już roje aeroplanów. Wielkie skrzydła malowane jaskrawo w desenie, kopiowane na skrzydełkach motyli migotały w słońcu wszystkimi barwami tęczy. Raz po raz jakiś statek nikł w oczach, zda-

wało się że się roztapiał w złotym blasku słońca...



Panteon zbudowany w kształcie starodawnej kamienicy secesyjnej wznosił się na wzgórku o kilkadziesiąt kilometrów za miastem. Pan Karol przyobiegał suty napiwek za porządną jazdę więc też pilot nie żałował motoru i narzeczeni przebyli tą przestrzeń w niespełna dwie minuty. W olbrzymiej jasnej sali muzeum pełno już było zwiedzających. Dookoła sali na postumentach z czarnego granitu stały szeregami marmurowe biusty najwybitniejszych bohaterów ludzkości. W postumentach poukrywane były fonografy i za wrzuceniem drobnej monety w specjalny otwór biusty poczynąły przemawiać. Z marmurowych ust płynęły dźwięki żywej mowy ludzkiej.

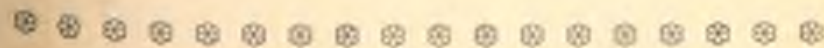
Zdarzało się jednak czasami, zwłaszcza w niedziele i dni wypoczynku tygodniowego, gdy natłok zwiedzających większy był niż zazwyczaj, że wszystkie biusty zaczynały przemawiać równocześnie: Caruso śpiewał, cesarz Wilhelm i Bebel wygłaszali mowy, Sara Bernhardt deklamowała. Tworzyło to razem barwną mieszaninę dźwięków w której trudno było rozróżnić oddzielne wyrazy, ale całość dawała za to potężne, majestatyczne wrażenie nie-

śmiertelności gienjuszu ludzkiego. Wrażenie to było tak przejmujące że wrażliwsze istoty, kobiety zwłaszcza dostawały spazmów. Szlochy ich łączyły się z ogólnym chórem fonografów i braterski hymn żywych i umarłych płynął pod strop świątyni.

— Pójdźmy do Napoleona — szepnęła pana Ada — gdy weszli do Panteonu.

Przed biustem Napoleona taki tłok jednak panował, że niepodobna było się doń przecisnąć. Panna Ada wspinała się na palcach pragnąc ulubioną twarz wodza zobaczyć, ale nie udawało jej się to. Za to słyszała wyraźnie głos, która raz po raz pospieszenie powtarzała „Francuzi, czterdzieści wieków patrzy na was ze szczytu tej piramidy, szczytu tej piramidy, piramidy...”

Był to fonograf oblegany najtłumniej, od czasu skandalicznej polemiki paru pism wywołanej wystąpieniem jakiegoś dziennika który dowodził, że w epoce napoleońskiej fonografów jeszcze nie znano i że głos Napoleona był śmiałym falsyfikatem. Dziennikarz ów próbował nawet poprzeć swoje oskarżenie jakimiś pseudo-historycznymi dokumentami, ale ma się rozumieć tylko bardzo powierzchowne umysły dały się wziąć na lep tego rodzaju sensacyi.



O zmierzchn narzeczeni powracali do domu. Na chodnikach biegnących po płaskich dachach kamienic znów było rojno i gwarno. Mrok gęstniał, tu i owdzie, na niebie ukazywały się gwiazdy. Na aeroplanach pozapalano olbrzymie kolorowe latarnie i rój świateł migotał w powietrzu wznosząc się i opadając. Tak to wyglądało, jakgdyby jakieś niewidzialne chóry anielskie grały w foot-bal kolorowemi piłkami.

— Kazio... — szepnął nagle pan Karol z niezadowoleniem w głosie.

Był to jego daleki kuzyn, niby to filozof niby uczony, w gruncie rzeczy zaś pijak, próżniak i pospolity wyłżygrosik. Ale niepodobna już było uniknąć z nim spotkania. Kazio posiadał wzrok dobry i w największym tłoku po ciemku potrafił wypatrywać zamożniejszych krewnych.

Podbiegł ku narzeczonym i począł witać ich z natarczywą serdecznością.

— Coście porabiali po południu?

— Byliśmy w Panteonie — odparła panna Ada.

Rozgorączkowana jeszcze wrażeniami jakie sama przeżyła poczęła mu się z nich zwierzać ze szczerym entuzjazmem w głosie. Kazio słuchał i niedostrzegalny uśmiech błąkał mu się po ustach. Albowiem wśród wielu dziwacznych zdolności, jakimi natura go obda-

rzyła posiadał też i dar mówienia przenajrozmaitszymi głosami. I utrzymywał się głównie z podrabiania głosów do Panteonu. Śpiewał jako Caruso, deklamował jak Sara Bernhardt parę najpłomienniejszych kazań cesarza Wilhelma było również jego dziełem. Ale ma się rozumieć o tem nikt nie wiedział...

Schadzka.

Edison pracuje nad połączeniem
kinematografu z fonografem.

Są chwile w życiu ludzkim, kiedy wszystkie myśli i uczucia stapiają się w jedną słodką ciecz a dusza staje się podobną do garnka z wystawym miodem. Taką chwilę przeżywał pan Wiktor, siedząc na ławce w podmiejskim parku. Był zmierzch, skąpany w wodzie rozkwitających bzów, księżyc wspinał się już po niebie i puczając się jak bania rozdmuchał przed sobą granatowy mrok.

Pan Wiktor nie śmiał własnemu szczęściu wierzyć. A jednak to co się stało nie było snem. Przed chwilą tu, na tej samej ławce w blasku księżycy i woni bzów pani Marta zdenerwowana, ze łzami w oczach szepnęła mu do ucha „O jedenastej“. Owiewało go jeszcze rozkoszne ciepło jej ciała i czuł żar pocałunku na ustach.

Zerwał się z ławki i gorączkowo począł spacerować po pustej alei. Po chwili ochłoniwszy z pierwszego wrażenia szczęścia uśmiechnął się tryumfująco.

Znał panią Martę od dwóch lat. Na razie po poznaniu nie podobala mu się wcale i nie zwrócił by na nią żywszej uwagi, gdyby nie to, że imię jej wciąż mu się obijało o uszy. Bo o pani Marcie mówiono wiele. Miała ona opinię najcnotliwszej mężatki w stolicy. Była wierną aż do śmieszności. Z liczego roju wielbicieli, który ją stale otaczał nikt nie mógł się poszczycić choćby jednym czulszym spojrzeniem, mocniejszym uściskiem dłoni. Cnota jej stawiała się poprostu towarzyskim skandalem.

A życie samo zdawało się ułatwiać jej wszelkie pokusy. Mąż pani Marty, prowadząc rozległe interesy handlowe w różnych krajach musiał często z miasta wyjeżdżać. I podróże te trwały po dwa, trzy, cztery miesiące nieraz.

Pan Wiktor słuchał tych opowiadań z początku z niedowierzaniem, później z zaciekawieniem, wreszcie z rozdrażnieniem. Nie będąc zarozumiałym bynajmniej, uważał się jednak za człowieka, który miał prawo mierzyć się z niejedną najbardziej wypróbowaną nawet cnotą niewieścią. Szczęśliwych przygód mu nie brakło. Po jakimś zerwaniu nie mając czem przejściowej pustki zappełnić,

postanowił przez ciekawość poflirtować z panią Martą.

I zakochał się do szaleństwa.

Nieszczęśliwa, beznadziejna miłość zła mała mu życie. Był już blizkim samobójstwa z rozpaczy. Aż szczęście przyszło nagle, tak samo niespodziewanie jak i katastrofa.

— O jedenastej...

Pan Wiktor zapalił zapalną i spojrział na zegarek. Była dopiero dziewiąta. Dwie godziny jeszcze dzieliły go od wymarzonej chwili szczęścia i nie wiedział czem je zappełnić. Drżąc z niecierpliwego zdenerwowania snuł się po pustych alejach usypiającego już parku. Wiatr pośpiesznie zamiętał drogi, drzewa mruczały coś z cicha, jak gdyby opowiadając sobie ostatnie plotki na dobranoc. Białe kiście bzów oplatały się w promienie księżyca, zdawało się, że przewiązują sobie srebrnymi wstążeczkami papiloty do snu.

Było coś rozmarzającego w powietrzu. Pan Wiktor usiadł na kamiennej ławce i zmrużył oczy. Siedział chwilę jakby w półuśpieniu. Drgnął nagle. Zdjął go lęk, czy to wszystko nie majaczyło mu się tylko we śnie, w gorączkowej wiosennej halucynacyi.

Gwałtownie sięgnął ręką do kieszeni. I znów uśmiechnął się tryumfująco, poczuwszy stalowy chłód klucza pod palcami. Był to

klucz od tylnych drzwi willi w której mieszkała Marta. Począł się nim bawić, podstawiając go pod światło księżyca.

— A jednak — mruknął po chwili.

Mimo upojenia zbudziła się w nim refleksja. Myślał o tych hymnach na cześć małżeńskiej wierności pani Marty, którymi przez dwa lata karmiono go na każdym kroku. I zdjęło go mimowoli nieokreślone uczucie, jakby roztkliwienia nad cnotą za jej słabość. Bujne szczęście jednak spłoszyło zaraz tą myśl, która przysiadła mu tylko natrętnie na duszy, jak osa na kwiatach, aby uszczknąć trochę słodczy.

Znów sięgnął po zegarek. Było już wpół do jedenastej. Zerwał się z ławki i pośpiesznie pobiegł przed siebie.

Jednym skokiem przesadził płot i znalazł się w ogrodzie, otaczającym willę. Na białych ścianach domu kładły się niebieskawe cienie od księżyca. W jednym z okien na parterze widać było przez okiennicę światło.

Powoli zaczął iść, starając się stąpać jak najciszej po żwirze, którym usypane były ścieżki. Małe boczne drzwi willi uchyliły się nagle i w progu ukazała się pani Marta.

Rzucił się ku niej wzruszony.

Zatrzymała go ruchem dłoni.

— Przysięgnij mi przedewszystkiem — szepnęła uroczyście.

Spojrzał na nią z trwogą w oczach.

— Na co?

— Przysięgnij mi! — powtórzyła rozkazującym tonem.

— Przysięgam... — wykrztusił posłusznie, ale zdziwiło go trochę i zaniepokoiło to żądanie.

Pani Marta mówiła stłumionym gorączkowym szeptem:

— Przez cały czas, gdy będziemy teraz razem nie odezwiesz się ani słowem. Rozumiesz... Ani słowem... Choćbym się sama do ciebie z jakimi pytaniami zwracała, nie będziesz mi odpowiadał.

— Ależ...

— Przysięgłeś — przerwała mu niecierpliwie. Tylko pod tym warunkiem mogę cię przyjąć... Wybieraj.

Skinął szybko głową na znak że się na wszystko zgadza. Roześmiała się radośnie i pociągnęła go za sobą. Z ciemnego korytarzyka weszli do pokoju, który pan Wiktor znał bardzo dobrze. Był to gabinet męża. Na stole paliła się lampa osłonięta różowym abażurem. Portret mężczyzny wisiał na ścianie. Jakieś uczucie ironicznego współczucia rozplynęło się panu Wiktorowi po duszy. Ale różowy pokój mignął mu tylko w oczach i odrazu znaleźli się w mroku.

Zarzuciła mu ręce na szyję... Długi, aż

do utraty tchu pocałunek... Chwycił ją w pól i poniósł przed siebie.

— Czekaj! — krzyknęła nagle, wrywając mu się z objęć.

Odskoczyła gdzieś w bok i pan Wiktor posłyszał nagle charakterystyczny szelest, jakby nakręcanego fonografu. Ale o niczem nie potrafił już myśleć. Odrazu zresztą uczuł ją znów przy sobie. Zwiewna szata zsunęła jej się z ramion... Wydało mu się, że lecą razem w jakąś ziejącą ogniem otchłań...

Na niewielkim ekranie pokojowego kinematografu zabłysło nagle światło. Pan Wiktor uniósł instynktownie głowy i z przerażeniem ujrzał tuż nad sobą sylwetę męża pani Marty. Chciał krzyknąć, ale pomny na daną przysięgę zdusił głos w gardle.

— Tak... tak... tak... szeptała pani Marta.

A fonograf jej odpowiadał:

— Moja, moja, moja!..

— Kochasz?

— Kocham — huknęło w głębi pokoju z taką siłą, że aż fonograf podskoczył na stole.

Pan Wiktor milczał.

KONKURS

KOMEDJA W JEDNYM AKCIE

OSOBY:

POETA.

ŻONA POETY.

CIOTKA ŻONY POETY.

WIERZycIEL.

SŁUŻĄCA.

REDAKTOR.

KRYTYK.

REPORTER.

FOTOGRAF.

Scena przedstawia pokój bardzo biednie umeblowany. W głębi drzwi wejściowe. Po lewej stronie pośrodku sceny duże weneckie okno. Część pokoju w głębi osłonięta parawanem, który niedochodzi do ściany, tak, że widać brzeg łóżka. Nawprost okna biurko zarzucone książkami i papierami, na biurku lampa. Po obu stronach biurka krzesła. Koło okna półka do książek, nad nią parę dużych fotografii. Po drugiej stronie pokoju wzdłuż ściany szafa, podłużny stół, na nim maszynka spirytusowa, szklanki, talerze, butelki. Na ścianie nad stołem grupa fotografii i mandolina.

SCENA I.

ŻONA POETY. SŁUŻĄCA. WIERZYCIEL. POETA.

SŁUŻĄCA siedzi przy stole, ŻONA POETY stoi nad nią pochylona, SŁUŻĄCA układa kabałę, liczy palcem karty.

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć... Widzi pani znowu to samo... Jest koło pani blondyn wesołego charakteru ze słodkimi słówkami na ustach, ale myśli ma złe i czarne zamierzenie w sercu...

ŻONA POETY (śmiejąc się).

I to już drugi raz wychodzi?

SŁUŻĄCA.

Ano, niechże pani spojrzy.... Ten walet kierowy obok siódemki pik.... Najwyraźniej to samo.

ŻONA.

Prawda.

SŁUŻĄCA.

Muszę się spieszyć, bo nawet drzwi nie zamknęłam. Boję się, żeby tam kto do kuchni nie wlaźł.

ŻONA.

To niechże Marysia idzie.

SŁUŻĄCA.

Zaraz... Trzeba już dokończyć. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedm, ośm, dziewięć... Nie, przecież pani widzi, że nic a nic nie fałszuję, a słowo w słowo to samo wychodzi. (Po chwili stroskanym głosem.) Jakies zmartwienie w domu będzie.

ŻONA.

Duże?

SŁUŻĄCA.

Duże, nie duże, ale zawsze.... (chwila milczenia). Jabym wolala nic przykrego pani nie mówić, ale to trzeba wszystko.

ŻONA.

Ee, czyż Marysia przypuszcza, że ja w te głupstwa wierzę?

SŁUŻĄCA.

Niech pani tego nie mówi... mnie się tyle razy sprawdziło.

ŻONA.

Ale...

SŁUŻĄCA.

Naprawdę panienko (parska śmiechem). Ja wciąż panią nazywam panienką.

ŻONA.

Wszystko jedno.

SŁUŻĄCA.

Ale bo doprawdy, jak na panią patrzeć, to się wierzyć nie chce, że pani już za mężem.

ŻONA.

Za dwa miesiące rok będzie.

SŁUŻĄCA.

Ja tam tak wcześniej za mąż nie wyjdę.

ŻONA.

Czemu Marysiu?

SŁUŻĄCA.

Tak. (Po chwili) Pani ma takie zaczerwienione oczy, jakby pani znowu płakała.

ŻONA.

Nie.

SŁUŻĄCA.

Niech się pani przedemną nie zapiera, niby to ja nie wiem, że pani sobie oczy wypłakuje po kątach. (Po chwili) Pan do biura teraz nie chodzi?

ŻONA.

Nie.

SŁUŻĄCA (po chwili).

Ja muszę wracać na dół.

ŻONA.

Tak, tak... Niech Marysia idzie już... Ale na lekcję Marysia przyjdzie?

SŁUŻĄCA.

Przyjdę, niech się tylko pani nie martwi. Jak ja widzę, że pani taka zasmucona, to mnie samej chce się płakać.

ŻONA.

Ależ ja wcale nie jestem taka smutna. Zresztą przecież przyjdzie list z dobrą nowiną...

SŁUŻĄCA.

List przyjdzie.

ŻONA.

A, czy to i tym razem wyszło?

SŁUŻĄCA (wracając do stołu).

A jakże jest... O, ta dziesiątka karowa.. list z jakiejś strasznie dalekiej drogi, jakby z za morza. Czy państwo nie mają kogo w Ameryce?

ŻONA.

W Ameryce? Nie...

SŁUŻĄCA.

Niech się pani nie śmieje... Można czasami nie wiedzieć... A list przyjdzie i to nie długo. Do tygodnia będzie w domu, a może i prędzej... (pukanie do drzwi, Marysia odskakuje pośpiesznie od stołu). Ktoś idzie!

ŻONA (otwierając drzwi).

Ach, to pan... Męża nie ma.

WIERZYCIEL (we drzwiach).

Hm... (długie, bolesne westchnienie, kaszle).
A mężulek dawno wyszedł?

ŻONA.

Dość dawno.

WIERZYCIEL.

To pewno wkrótce wróci?

ŻONA.

Wątpię... Nie, nie, nie... Napewno nie nadejdzie tak prędko.

WIERZYCIEL.

Hm... (kaszle). Doprawdy, że ja nie mam szczęścia... Nigdy mężulka nie mogę zastać.

ŻONA.

Może pan wstąpi jutro, albo pojutrze.

WIERZYCIEL (wzdycha boleśnie).

Hm... Znów mi pani to samo powie...

ŻONA.

Cóżem ja temu winna, że pan zawsze przychodzi w takiej porze, kiedy Stasia nie ma w domu.

WIERZYCIEL (kaszle).

A może mężulek zostawił co dla mnie?

ŻONA.

Nie.

WIERZYCIEL.

Jabym już tak chciał tę sprawę zakończyć... To taka drobna sumka.

ŻONA.

Niech pan za tydzień przyjdzie. Uprzedzę męża, żeby na pana czekał.

WIERZYCIEL (z przerażeniem).

Za tydzień!?

SŁUŻĄCA.

Bo co to nudzić jak pani powiada, że pana niema w domu!

WIERZYCIEL.

Idę już, idę... (odchodzi mrucząc). Taka drobna sumka i żeby mnie schorowanego człowieka... (chwila kłopotliwego milczenia).

SŁUŻĄCA (półgłosem).

Jak ja się kiedy na schodach przyczaję i zleję mu łeb gorącą wodą, to mu się odechce tu łązić.

ŻONA (opryskliwie).

Ach, niech się Marysia do nieswoich rzeczy nie wtrąca.

SŁUŻĄCA (po chwili milczenia.)

Mnie tak przykro, że państwa różne wycieruchy nachodzą.

ŻONA.

Damy sobie radę.

SŁUŻĄCA.

O, ja wiem proszę pani. (po chwili) Ale widzi pani... już to zmartwienie wyszło.

ŻONA.

Niechżeż mnie Marysia tą kabałą nie przesładuje. Ja się sama sobie dziwię, że się zgadzam słuchać tego wszystkiego. Najlepiej będzie karty spalić!

SŁUŻĄCA.

Co też pani... (drzwi otwierają się gwałtownie, wpada POETA).

POETA.

Jak się masz Józka! Cóż to, lekcya... a nie... kabała... Cóż Marysiu, wyszedł list z pieniędzmi?

SŁUŻĄCA.

A wyszedł.

POETA.

Doskonale, będziemy bogaci.

SŁUŻĄCA.

Każdy człowiek bieduje a potem się dorabia.

ŻONA.

Zmęczyłeś się?

POETA.

Trochę. Ach, moja Marysiu, czyby Marysia nie chciała nam oddać pewnej przysługi?

SŁUŻĄCA.

Dobrze.

POETA.

Skoczyć po naftę...

SŁUŻĄCA.

Zaraz polecę.

ŻONA.

Tu jest butelka... Bardzo będziemy Marysi wdzięczni.

SŁUŻĄCA.

O, co też pani mówi.

SCENA II.

POETA. ŻONA. SŁUŻĄCA.

POETA.

Pocziwa dziewczyna (zbliża się do stołu i przerzuca karty). Oj, Józka, Józka!...

ŻONA.

Taka byłam zdenerwowana, że poprostu żeby czemś myśl rozerwać...

POETA.

Ciebie ten konkurs tak denerwuje.

ŻONA.

Tak.

POETA.

Ja bo wcale o tem nie myślę (podchodzi do stołu). Może zostało trochę herbaty.

ŻONA.

Pić ci się tak chce?

POETA.

Trochę (nalewa pół szklanki, pije).

ŻONA.

Która to godzina może być?

POETA.

Piąta, wpół do szóstej, niewiem... Dziś nie masz przecież lekcji.

ŻONA.

Nie.

POETA.

I to dobre przynajmniej. Leje jak z cebra, a już i drugi bucik ci pękł.

ŻONA.

Mój Boże, żeby to tak jeszcze ze dwie lekcye dostać... Gdybym tak choć po trzy godziny dziennie mogła mieć, ale stale, to to by już wystarczyło... mógłbyś spokojnie pisać (przez kilka chwil przygląda się mężowi). Tyś strasznie zdenerwowany.

POETA.

W tej chwili mnie wzięło.

ŻONA.

I ciebie ten konkurs denerwuje.

POETA.

Nie mogę odżalować, żem posłał.

ŻONA.

A to teraz właśnie się rozstrzyga.

POETA.

Teraz.

ŻONA.

Mój Boże, żebyś tak wziął... Nie, ja już nawet marzyć o tem nie chcę.

POETA.

Uspokój się, nie wezmę!

ŻONA.

Ciekawa jestem, komu też przyznają.

POETA.

Nie wiem, najlepiej nic nie mówmy o tem.

ŻONA.

Ma się rozumieć, poco się niepotrzebnie denerwować.

POETA.

Och, denerwować... Moja droga, gdybym się chciał takim głupstwem denerwować, nie na długo by mi nerwów starczyło (po chwili) Swoją drogą to ciekawe, kto ten konkurs weźmie.

ŻONA.

Gdyby sprawiedliwie sądzono.

POETA.

Nie, nie... to nie o to chodzi... Ja wierzę, że sąd będzie sprawiedliwy zupełnie, ale... Ilu tam jest tych panów? Coś piętnastu... a piętnastu upodobaniom do przekonania trafić trudno. Jeden człowiek może sądzić rozumem, tysiąc jakimciś porywem uczucia, ale piętnastu tylko szablonem. A moja rzecz jest za świeża, za szczerą... I to, co jest w niej najlepszego, wyda im się dziwactwem napewno... Ee, doprawdy, sto batów kazałbym teraz dać sobie za to, żem się skusił i posłał.

ŻONA.

Oni tego nie rozumieją.

POETA.

I będą dumni. Z poezją niema kłopotu. Czy się rozumie, czy nie, zawsze się jest mądrym. Nie, głowę bym dał, że oni mojej rzeczy nie tylko nie odznaczają, ale nawet nie wyróżniają. A wiesz dlaczego? Bo nie będą

mieli poprostu odpowiedniej nazwy. To nie jest ani tragedia, ani dramat, ani komedia, a za mało wycackane, aby się chcieli doszukać w tem poezji. A ja wierzę, że tak trzeba pisać... Właśnie tak... Nasz teatr za bardzo już przesiąkł kulturą i zaczyna próchnieć... trzeba mu trochę barbarzyństwa! (zde-nerwowany przechadza się parę razy po pokoju, po chwili naciąga palto).

ŻONA.

Wychodzisz?

POETA.

Wacka poszukam... może on będzie miał z rubla.

ŻONA.

Ty głodny musisz być strasznie.

POETA.

Nie.

ŻONA.

Ale co też ty mówisz?

POETA.

Słowo honoru ci daję, że nie. Zresztą wielka rzecz, parę godzin się przegłodzić. Dla mnie to nic nie znaczy. Tylko ty musisz być głodna.

ŻONA.

Nie, nie... zresztą ja jadłam.

POETA.

Co?

ŻONA.

A z wczoraj została jeszcze jedna sardynka i dwa ciastka. Mnie to wystarcza, słowo ci daję, że nie jestem głodna (z wybuchem rozżalenia w głosie). Ach, jednej rzeczy odżałować nie mogę.

POETA.

Czego?

ŻONA.

Mój drogi, tylko się nie gniewaj... Ja pisałam do ciotki list...

POETA.

Tego jeszcze było potrzeba!

ŻONA.

Głupio zrobiłam, ale tak chciałam coś wymyśleć, że mi się w głowie zakotłowało zupełnie... Ty udajesz dobry humor, ale przecież ja widzę, jak ty się gryziesz i głodzisz.

POETA.

A ja... jaj.

ŻONA.

Nie gniewaj się, mój drogi.

POETA.

I cóż ciotunia?

ŻONA.

Nie odpowiedziała mi nawet.

POETA.

Oni muszą być wściekli na mnie, że rzucił tę posadę... (po chwili) No, mniejsza o to, lecę...

ŻONA.

Przyprowadź tu Wacka. Będziemy mieli naftę.

POETA.

Jak go tylko zastanę, to go ściagnę. Chciałbym dziś wesoło wieczór spędzić. Upiłbym się nawet z chęcią, żeby oblać swój tryumf.

ŻONA.

Ciebie to wciąż denerwuje.

POETA.

Ja poważnie mówię. Bo moralnie jest to dla mnie tryumf, że mnie pomina. Ale im napsuł trochę krwi, co? Musieli się trochę złościć, jak czytali?

ŻONA.

O, napewno.

POETA.

Wiesz, że może nawet przykrość by mi to sprawiło, gdyby mię wyróżnili. Psiakrew, głodem się człowiek nie naje. Ale przyjemnie sobie powiedzieć, że to co piszę, to nie na dzisiaj. Sam się uwieńczę swoim dziurawym butem, ale nie ustąpię, nie... Czekaj Józka, przyjdzie jeszcze i na mnie kolej... Zdobędę teatr.

ŻONA.

Czy myślisz, że ja w to nie wierzę?

POETA.

Wiem. Ty wierzysz. Ty jedna może wierzysz szczerze.

SŁUŻĄCA (uchylając drzwi).

Przyniosłam naftę.

POETA.

A... prześlicznie Marysi dziękujemy... No, to ja niezadługo wracam.

SCENA III.

SŁUŻĄCA. ŻONA. CIOTKA. WIERZyciel.

SŁUŻĄCA.

To ja już mogę teraz na lekcję zostać?

ŻONA.

Doskonale. Niechżeż Marysia siada.

SŁUŻĄCA.

Tylko tego pisanego, co mi pani w kacieście kazała zrobić, to ja nie napisałam.

ŻONA.

Aa... czemu?

SŁUŻĄCA.

Pani myśli, że ja mam czas. Taka psia... (urywa).

ŻONA.

Niechżeż Marysia raz się już oduczy tych wyrażen.

SŁUŻĄCA.

Nie... nie... mnie się tak tylko wyrwało. Goście wieczorem u nas byli, a potem nafty nie miałam, ale dziś to już napewno to zrobię.

ŻONA.

Trzeba się uczyć Marysiu. Tylko nauka daje naprawdę szczęście.

SŁUŻĄCA.

Ja wiem, proszę pani (siadają przy biurku).

ŻONA.

Więc cóż ja Marysi ostatnim razem opowiadałam?

SŁUŻĄCA.

A o tym komecie.

ŻONA.

Nie trzeba tak twardo wymawiać. August Comte... Niech Marysia powtórzy.

SŁUŻĄCA.

August Kąt.

ŻONA.

I cóż on zrobił?

SŁUŻĄCA.

On popchnął ludzkość (pukanie do drzwi).
Ktoś puka.

ŻONA.

Może to znów... ten.

SŁUŻĄCA.

O, ale to ja mu już sama otworzę. Żeby jeszcze podczas lekcji przyłaził! (biegnie i otwiera gwałtownie drzwi). Jak pani mówi, że pana niema... (urywa i cofa się zmieszana).

ŻONA (podbiegając ku drzwiom).

Ciocia!

CIOTKA (oziębłe).

Jak się masz, jak się masz... (Marysia wychodzi). Cóż to za dziewczyna?

ŻONA.

To... służąca.

CIOTKA.

Wasza?

ŻONA.

Nie, skądżeż... Ciocia wie przecież, że nie mamy służącej.

CIOTKA.

Wiem, wiem... I czegoż ona tu chciała?

ŻONA.

Tak przyszła.

CIOTKA.

Chyba nie z wizytą do ciebie?

ŻONA.

Ja jej daję lekcye.

CIOTKA.

Lekcye?

ŻONA.

Tak... Uczę ją czytać, pisać i w ogóle...
Niechżeż ciocia siada (podaje krzesło).

CIOTKA.

Ależ tu pełno kurzu na tem krześle...

ŻONA.

Tu... kurzu?

CIOTKA.

Dzięki Bogu, mam wzrok dobry.

ŻONA (podaje inne krzesło).

To jest zupełnie czyste... Jaka ciocia
dobra, że ciocia do nas przyszła. Ja się tak
bałam...

CIOTKA.

Tu i mąż zaraz przyjdzie.

ŻONA (zdziwiona i nieco zmieszana).

Wuj?

CIOTKA.

Tak.

ŻONA (po chwili).

Ja bardzo ciocię przepraszam, że napisa-
łam ten list.

CIOTKA.

Nie masz mnie za co przepraszać (po chwili,
parskając ironicznym śmiechem). Nie, doprawdy
można ci pozazdrościć usposobienia. Więc
ty zajmujesz się najspokojniej w świecie kształ-
ceniem służących...

ŻONA.

Cóż w tem złego?

CIOTKA.

Ależ nic złego w tem nie ma, przeciwnie
bardzo chwalebne zajęcie. Ciekawa tylko
jestem, czem ci się ta uczennica odwdzięczy,
kiedy się znajdziecie na bruku?

ŻONA.

Nie znajdziemy się.

CIOTKA.

Nie? A na cóż czekacie, na spadek, czy
na wielki los na loteryi? Czegoż ty płaczesz?
Dziwnie wrażliwą zrobiłaś się teraz. Dawniej,
kiedy ja ze łzami w oczach błagałam cię, że-
byś nie popełniała szaleństwa, toś się tylko
uśmiechała ironicznie. A przecież ja chciałam
twojego szczęścia. Modliłam się po nocach,
żeby Pan Bóg oświecił cię jako, choć jedną
rozsądną myśl zesłał do głowy. Uparłaś się,
żeby wyjść za mąż za tego obdartusa...

ŻONA.

Proszę cioci...

Co?

CIOTKA.

ŻONA.

Ja... nie pozwolę tak mówić!

CIOTKA.

Nie pozwolisz... A, nie... przepraszam cię, pozwolisz... Więc cóżeś ty sobie wyobrażała? Że ja po otrzymaniu twego listu przybiegnę do was z pieniędzmi i jeszcze podziękuję ślicznie twemu mężowi, że go wyrzucili z posady.

ŻONA.

On sam się podał do dymisyi.

CIOTKA.

Nieprawda! Nie podawał się do dymisyi, tylko jego wypędzili! wy-pę-dzi-li! (z gwałtownym gestem). Won, za drzwi! Tygodniami nie pokazywał się w biurze!

ŻONA.

To było dla niego zupełnie nieodpowiednie zajęcie.

CIOTKA.

Jak i wszystkie inne. Ale cóż wy nadal zamierzacie robić?

ŻONA.

Staś potrafi zapracować.

CIOTKA.

Dzięki Bogu, bo od nas pieniędzy nie dostaniecie.

ŻONA.

Nie nam jednym ciężko się wiedzie... A, tego, że się w rozpacz do cioci zwróciłam, nie mogę uważać za zbrodnię. Żałuję teraz, że napisała ten list.

CIOTKA.

Nauczyłaś się od męża ciętych odpowiedzi. Ja tak pięknie zdań stylizować nie potrafię. Moja droga, tu nie o pieniądze chodzi. Ostatecznie moglibyśmy wam, to jest tobie, jeszcze raz pomódz, ale nie można... rozumiesz... nie można rozzuchwalać próżniactwa. Gdy pan Stanisław będzie wiedział, że na nas liczyć niepodobna, nauczy się punktualnie chodzić do biura... Tylko tym razem wuj mu już posady nie będzie wyrabiał... Nie może swojej opinii narażać, polecając takich ludzi... Nygus! Wyciruch!

ŻONA.

Proszę cioci!

CIOTKA.

Tylko się nie oburzaj! Zastępowaliśmy ci rodziców, od dziecka wychowali... Zdaje się, że to wszystko daje mi prawo... (ociera oczy z łez).

ŻONA.

Ciocia płacze?

CIOTKA.

Ach, nie udawaj, że cię to obchodzi (słysząc pukanie do drzwi). Otwórz, to wuj (Józia podbiega ku drzwiom, uchyla).

WIERZYCIEL (we drzwiach).

To ja... Mężulko nie wrócił?

ŻONA (opryskliwie).

Nie wrócił.

WIERZYCIEL.

Hm... No, ale teraz to już pewno niezadługo nadejdzie.

ŻONA.

Mówiłam już raz panu, że nie nadejdzie.

WIERZYCIEL.

Hm... (kaszele). Może jabym poczekał.. Taki deszcz...

ŻONA.

Wybaczy pan, ale teraz nie mogę pana przyjąć.

WIERZYCIEL.

Ano, to pójdę... Tylko jabym tak już chciał tę sprawę załatwić... to taka drobna sumka (Ciotka, która od początku niespokojnie przysłuchiwała się tej rozmowie, chowa się pod ścianę, tak, żeby Wierzyciel nie mógł jej zobaczyć).

ŻONA.

Ach, jakiż pan natrętny!

WIERZYCIEL.

Idę już... idę (odchodzi mrucząc). Taka drobna sumka i żeby mnie schorowanego człowieka...

CIOTKA (zrywając się gwałtownie z krzesła).

Aa, moja droga!

ŻONA.

Co?

CIOTKA.

Tego tylko jeszcze brakowało. Do widzenia (zawraca odedrzwi). Nie, teraz nawet wyjść stąd niepodobna, bo ten pan może gdzieś tam czeka na schodach.

ŻONA.

Nie wiem, co sobie ciocia wyobraża...

CIOTKA.

Słyszałam wyraźnie całą waszą rozmowę... Mało się ze wstydu nie spaliłam.

ŻONA.

Ciocia nie miała powodu się wstydzić.

CIOTKA.

Nie miałam powodu... Zabardzo przejęłaś się zasadami twego męża.

SCENA IV.

POETA. ŻONA. CIOTKA.

POETA (wbiega na scenę przy ostatnich słowach Ciotki, zatrzymuje się w progu, po chwili kłania się sztywno):

Moje uszanowanie.

CIOTKA.

Dzień dobry... Nie mogę powiedzieć moje uszanowanie... bo... bo nie mam uszanowania.

ŻONA.

Ciociu!

CIOTKA.

Cicho bądź... Więc pan tak sobie teraz całymi dniami spaceruje. (Poeta nie odpowiada, siada przy biurku, zaczyna bębnić palcami po biurku). Niech pan nie bębni.

POETA.

Zdaje mi się, że wolno mi bębnić w moim domu.

CIOTKA.

Zapewne, zapewne... tylko mnie się znów zdaje, że już niedługo pana z tego domu wyrzucą... Będzie pan sobie bębnił po asfalcie... na ulicy (po chwili milczenia z przekąsem). Więc i ta posada była dla pana nieodpowiednia?

ŻONA.

A nieodpowiednia.

CIOTKA.

Ha, ha, ha... A jakież to zajęcie, moja pani, jest dla twojego męża odpowiednie? Był w banku, wyrzucili go, był na kolei, wyrzucili go, teraz go znów wyrzucili... Z tego żyć trudno.

POETA

(zrywając się gwałtownie z krzesła).

Przepraszam panią, ale nie mam zamiaru słuchać dłużej jej kiepskich dowcipów!

ŻONA.

Stachu, na miłość Boga!

POETA.

A, nie... dość tego. Im się zdaje, że mają jakieś prawo wtrącać się do tego, co ja robię. Proszę pani, gdyby państwu naprawdę o los siostrzenicy chodziło, inaczejbyście względem nas postępowali... A ta fałszywa serdeczność!...

CIOTKA.

Jestem sama, może mnie pan obrażać.

POETA.

Ustępuję (wychodzi z godnością za parawan).

ŻONA.

Bo ciocia nie ma prawa...

CIOTKA.

Nie mam prawa, właśnie, że mam prawo (odwracając się w stronę parawanu). I to panu powiem tylko, że taki nicpoń, nygus, wycieruch, jak szanowny pan...

POETA (z poza parawanu).

Józka, chodź tu... zabraniam ci rozmawiać z tą panią...

CIOTKA.

Idź, idź!...

POETA

(za parawanem słycać gwałtowne uderzenie pięścią w stół).

ŻONA (wbiegając za parawan).

Stachu, ja cię proszę na wszystko...

CIOTKA.

Puść go, puść... Niech się rzuci na mnie... Tego tylko jeszcze brakowało... Rozbójnik, uwodziciel, grafoman! (idzie ku drzwiom, otwiera i cofa się gwałtownie w tył, w progu ukazuje się Redaktor, Krytyk, Reporter i Fotograf z aparatem).

SCENA V.

CI SAMI, REDAKTOR, KRYTYK, REPORTER, FOTOGRAF, WIERZyciel.

REDAKTOR.

Więc to kobieta?

CIOTKA.

Nie... nie... nie!

REDAKTOR.

Godło „Po trupach“.

CIOTKA.

Oni mnie tu zamordują (pada na krzesło i zaczyna płakać).

REPORTER.

To emocja, to emocja!...

FOTOGRAF.

Możebyśmy laureatkę w tym momencie sfotografowali.

ŻONA (za parawanem).

Stach, wzięłeś konkurs! (wybiegają przewracając parawan).

POETA.

Panie Redaktorze!

KRYTYK.

Niechże pana uściskam.

POETA.

Nie, doprawdy...

REDAKTOR.

Ha, ha, ha... To paradne... Ten młodzienc nie wie! Słowo honoru daję, to mi się podoba... to naprawdę artystyczne usposobienie. Napisał, posłał i reszta go nie obchodzi... Tryumf, tryumf... Evviva l'arte!

REPORTER.

A co tysiąc rubelków, to tysiąc rubelków bo i o prozie życia trzeba pamiętać w dniach upojeń.

CIOTKA.

Stasiu poproś-że panów...

POETA.

Pan Redaktor raczy, panowie będą łaskawi. Józiu dajno jeszcze krzesło. (Ciotka podbiega z krzesłem). Moja żona.

KRYTYK (do Ciotki).

Więc to pani jest tą muzą, która natchnęła męża do napisania tak pięknego poematu?

CIOTKA.

Ależ panie redaktorze!...

REDAKTOR.

Mój Boże, jak sobie przypomnę, że i ja miałem kiedyś taki pokój na poddaszu. Chłodno w nim bywało i głodno, ale co snów, co tęczowych rojeń w sercu. Zazdroszczę panu, panie Kazimierzu!

REPORTER.

Mnie się zdaje, że naszemu poecie na imię Stanisław.

POETA.

Mam i Kazimierz na drugie imię.

KRYTYK (do Ciotki).

Dumną może być pani z siostrzeńca...

FOTOGARF.

Ale zdjęcie... przedewszystkiem zdjęcie... Laureat w grupie rodziny.

CIOTKA (ściągając Redaktora na stronę).

A ja na stronie muszę panu redaktorowi jeszcze na jedną rzecz zwrócić uwagę. Pojęcia pan redaktor nie ma, co to za harda sztuka. Od nikogo nie chciał przyjąć pomocy. Dlatego tu tak ubogo.

REDAKTOR.

Bardzo piękny rys.

CIOTKA.

Nieprawda? Bo przecież my wszyscy... Rodzina... Ale on nie. Sam sobie dam radę. Jak zdobędę, to będę miał.

REDAKTOR.

Słyszycie panowie?

CIOTKA.

Panie redaktorze, ja to poufnie...

REDATO .

Po tem, co tu w tej chwili słyszałem, raz jeszcze pragnę serdecznie pańską dłoń uścisnąć. To już nie dla talentu uznanie, ale dla charakteru.

KRYTYK.

A wie pan, co mnie się osobiście najbardziej w wykonaniu pańskiej sztuki podobało?... Ta, że tak powiem, dobra tradycja literacka... Nie uległ pan tym nowoczesnym, dekadencckim prądom, które najczęściej są tylko barbarzyństwem.

REPORTER (do Żony, wskazując mandolinę na ścianie).

To mąż i muzykę uprawia?

ŻONA.

Trochę.

CIOTKA.

Ale, bardzo pięknie grywa...

REPORTER.

Dzieci państwo mają?

ŻONA.

Nie, skądżeż.

REPORTER.

Rozumiem, rozumiem... przed konkursem (pukanie do drzwi).

CIOTKA.

To pewnie mąż... (biegnie ku drzwiom, otwiera).

WIERZYCIEL (niosąc ogromny bukiet z wyciągniętymi rękami podchodzi do Poety).

Proszę pana, ja się dowiedziałem właśnie (kaszle), dowiedziałem się właśnie o pańskim tryumfie. Pan nie ma pojęcia, jak ja się cieszę... ja już dawno o tem myślałem i tak się wciąż cieszyłem.

REPORTER.

Wiwat laureat!

POETA

(chwytając Wierzyciela w objęcia).

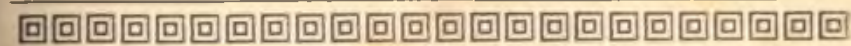
Pocziwy!

WIERZYCIEL

(półgłosem, ściskając Poetę).

Jabym już tak chciał tę sprawę zakończyć... To taka drobna sumka.

Z E M S T A



Młodzieniec ów, z którym żona Wichrowskiego uciekła za granicę, był bardzo przystojny—tę sprawiedliwość należało mu oddać. Wysoki szczupły brunet o powłóczystych oczach i energicznym a równocześnie miękkim wyrazie twarzy, nosił zarost à la księżę Józef Poniatowski i jeśli mu co można było zarzucić, to to może, że zbyt wyraźnie charakteryzował się na księcia Józefa. Wichrowski znał go bardzo mało, widział parę razy zaledwie i lubiał, bo Marjewicz (tak młodzieniec ów się nazywał) pomimo pewnej przesady był naogół sympatyczny.. Poznali się na przyjęciu u wspólnych znajomych, po którym Marjewicz złożył Wichrowskim wizytę, następnie jednak mimo, że doznał bardzo życzliwego przyjęcia, przestał przychodzić. Spotykając go parę razy na mieście, Wichrowski zawsze po parę słów z nim zamieniał i zapraszał, Marjewicz przyrzekał przyjść, dziękował z prze-

sadną nawet wdzięcznością, jakgdyby czuł się wyjątkowo względami Wichrowskiego zaszczyconym, ale nie przychodził. Wichrowski doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy było jeszcze bardzo niewyrobiony i nieśmiały młodzieniec. Potem stracił go z oczu, przez jakieś dwa miesiące ani razu nie widział, co uświadomił sobie zresztą dopiero po fakcie—gdy pani Marylka uciekła z Marjewiczem za granicę.

Stało się to tak niespodzianie i nieoczekiwanie, że Wichrowski w pierwszej chwili był tylko oszołomiony—przytłoczyło to w nim wszystkie inne uczucia. Wiedział, że w pożyciach małżeńskich zdarzają się takie katastrofy, jak ucieczka żony z kochankiem za granicę, był nawet bardzo pod tym względem dla kobiet pobłażliwy, co szczerze i najzupełniej harmonizowało z jego ogólnymi liberalnymi poglądami na życie, a zwłaszcza z szerokim pojmowaniem natury ludzkiej, ale wszystkie te fakty, o których zdarzało mu się mówić, słyszeć albo poprostu nawet czytać, były inne. Miały jakieś upozorowanie i wewnętrzną logikę, która w rezultacie doprowadzała do tego, że stawały się koniecznymi, podczas gdy cały ten romans i ucieczka Marylki była czemś wyjątkowym, oderwanem od życia i przez to nabierała cech nieokreślonej potworności.

Wichrowski nie potrzebował analizować

swoich uczuć, aby zdać sobie sprawę, że najmniej ze wszystkiego dotknęła go strata żony. W stosunku ich uczucia oddawna już nie odgrywały żadnej roli, w ostatnich czasach nawet małżeństwo poczynąło Wichrowskiemu ciężać i wyrażnie już prawie uświadamiał sobie, że jednak do końca życia z Marylką nie dotrważą. Po ucieczce jej więc próbował wmówić w siebie cynicznie, że właściwie stało się to, czego pragnął, może w niepotrzebnie jaskrawej formie, ale wynik ostateczny był ten sam... To rozumowanie jednak było tylko przyklepione do duszy, czuł pod niem zimną warstwę kleju.

Najnieznośniejsze, uniemożliwiające poprostu życie było to, że wciąż musiał o tym swoim skandalu myśleć. I wszystko koncentrowało się na Marjewiczu. Przykro mu było, że stał się bohaterem skandalu. Wobec rozległych stosunków towarzyskich, jakie posiadał, sprawa była głośna, ale nawet ten wzgląd zadraśniętej ambicji męskiej był już pomniejszym, drugorzędnym. O żonie nie myślał wcale. Zato wciąż i wciąż do głuchych wybuchów fury doprowadzało go wspomnienie Marjewicza...

Zdawało mu się, że gdyby Marylka uciekła była z kim innym—z kimkolwiek, byle nie z Marjewiczem, to fakt ten nie wywarłby na nim najmniejszego wrażenia. Ale Marjewicza

znienawidził. Gdy sobie uprzytamniał to jego pełne skromności i uszanowania zachowanie, czuł dopiero teraz, ile w tem było fałszu i tryumfującej ironii. Krew uderzała mu do głowy, Marjewicz był dla niego obelgą. Smarkacz, pozer, pyszniący się swoją fryzyerską, lalkowatą urodą! Raz po raz w duszy Wichrowskiego budziło się dzikie pragnienie zemsty, mściwej, małosłkowej; nie zabiłby Marjewicza, ale oblał mu twarz witryolejem. Gdy się pierwszy raz na tem uczuciu przyłapał, zdjął go nawet nieokreślony wstyd. Przeciął wahania brutalnym wybuchem zawziętości: pocóż miał wobec siebie odgrywać komedię banalnej szlachetności, kiedy to było właśnie szczere, tego pragnął! A równocześnie ów Marjewicz interesował go w jakiś nienaturalnie przesadny sposób. Chciał wiedzieć wszystko o nim, do najdrobniejszych szczegółów. Musiał to tłumić w sobie, bo wstyd by mu było wypytywać się kogokolwiek o Marjewicza, lecz wciąż o nim myślał. Prześladowały go zmysłowe obrazy jego romansu z Marylką i to niespodziewanie zbudziło w nim nowe namiętne, bolesne pożądanie żony.

Podobno Marylka przebywała z Marjewiczem gdzieś na Rivierze. Przyszło mu na myśl, żeby pojechać ich odnaleźć. I gdy ta myśl zapadła mu raz w duszę, już mu nie dawała ani chwili spokoju. Próbował ją zwal-

czyć rozumowaniem. Przecież nie było sensu ich ścigać, nie zależało mu do tego stopnia na żonie, żeby się aż mścić, nawet wcale mu na niej nie zależało. Ale chytry instynkt przeciwstawił rozumowaniom logiczne argumenty. W jakiś sposób musiał się z Marylką porozumieć, należało uporządkować życie, przeprowadzić formalny rozwód. Mimo wszystko łączyły ich jeszcze ze sobą pewne sploty codziennych, życiowych drobiazgów. I to należało rozwikłać, a ma się rozumieć, on sam musiał się tem zająć, bo Marylka o całym świecie zapomniała w szale.

I gdy sobie to uprzytamniał, ten szal, to upojenie miłosne, w jakim ona tam żyła z tym „smarkaczem“, odrazu jakgdyby fala krwi rozbryzgiwała mu się po duszy żrącemi kroplami. Nie zależało mu na Marylce, ale Marjewiczowi chciał popsuć szczęście.

Ta chęć zemsty rosła w nim z dnia na dzień, obejmowała mu duszę, jak ogień. I zdał sobie sprawę wreszcie, że walczyć z nią było niepodobieństwem — na nic się wszystkie etyczne i społeczne argumenty nie zdały, może to był dziki instynkt, który w nim tryumfował, ale był tak silny, że należało mu uleść, aby móżdżek żył nadal. Postanowił więc jechać bez zwłoki i gdy powziął to postanowienie, doznał odrazu uczucia dużej ulgi.

W przeddzień wyjazdu z Warszawy spotkał przypadkowo na ulicy niejakiego Tosia Boruckiego, który był dalekim kuzynem jego żony. Nie widzieli się ze sobą dawno i wogóle nie utrzymywali bliższych stosunków, to też Tosio, powitawszy Wichrowskiego ukłonem, chciał go wyminąć. Wichrowski zatrzymał go jednak.

— Wyjeżdżam — odezwał się po powitaniu.

— Dokąd? — odparł obojętnie Tosio, może nawet z akcentem lekkiego zniecierpliwienia w głosie. Dzień był dżdżysty i nie nadawał się bynajmniej do rozmów na ulicy.

— Na Rivię.

— Aa...

Było coś nieuchwytnego w jego głosie, w przelotnym, chytrym błysku spojrzenia, jakim obrzucił Wichrowskiego. Wichrowski odczuł je i zrozumiał. Tosio wiedział, gdzie

byli „tamci“. Widoczne to było i z tego, że odrazu nabrał ochoty do rozmowy.

— Na długo pan wyjeżdża?

— Na parę tygodni.

— Szczerze panu zazdroszczę, z jaką rozkoszą jabym uciekł na tę chlapaninę z Warszawy. Trzy lata już nie byłem na Rivierze, w żaden sposób nie mogę się zebrać — mówił Tosio, wciąż usuwając parasol przed parasolem Wichrowskiego. Ma pan już jaki hotel upatrzony?

— Nie.

Tosio począł mu rekomendować pensjonat, w którym sam przed trzema laty mieszkał i zachęcał go, aby koniecznie tam zająć. Ożywiło go wspomnienie Rivieri i chcąc rozmowę przedłużyć, zaproponował Wichrowskiemu wstąpienie do cukierni na herbatę. Wichrowski zgodził się chętnie; przyszło mu na myśl, że taki Tosio musiał wiedzieć, gdzie przebywali tamci. Prościej było dowiedzieć się od niego, niż szukać ich za pośrednictwem biur wywiadowczych w Nizy. Dotychczas, przez szczególną drażliwość, Wichrowski nie chciał się niczego od znajomych ani krewnych o żonie dowiadywać.

— Na Wiedeń pan jedzie? — dopytywał się Tosio.

— Na Wiedeń.

— Ja na Berlin zawsze jeżdżę, może to niepatryotycznie, bo daję prusakom zarabiać, ale wolę niemieckie koleje. A przytem przyznam się panu, że lubię Berlin... Tam jest życie.

— Tak—potakiwał machinalnie Wichrowski. Patrzył w okno, przez które widać było ulicę szarą i zabłoconą, wzdłuż chodników topniały zasy zabrudzonego śniegu, ludzie przewijali się pod parasolami, skuleni, zziębnięci; zdawało się, że każdego tłoczyła jakaś troska. Dwóch obdartych malców zatrzymało się przed oknem cukierni i płaszcząc nosy o szybę, z niemym podziwem przyglądało się Wichrowskiemu i Tosiowi.

Tosio mówił o Monte-Carlo i o grze. Gdy umilkł, Wichrowski odezwał się z niedbałym uśmiechem.

— A propos... Czy też pan nie wie, gdzie w obecnej chwili przebywa moja żona—moja eks-żona—dorzucił z ironicznie żartobliwym akcentem.

Na twarzy Tosia odbiło się lekkie zakłopotanie.

— Nie wiem.

Wichrowski spojrzał na niego podejrzliwie. I wydało mu się, że pochwycił w jego oczach wyraz utajonej ciekawości i współczucia. Zabolalo go to, upokorzyło i darować sobie nie mógł, że mu wyrwało się to pytanie.

Na małej stacyjce za Brennerem przewinięło mu się przez duszę pierwsze słodkie wrażenie Rivieri. Pociąg minął tunel i zdawało się, że po drugiej stronie słońce zaczęło już odrazu jakoś inaczej świecić. Wichrowski wysiadł z wagonu; miał na sobie zimowe palto, w którym wyjechał z Warszawy, i odrazu zrobiło mu się w niem zagorąco. Na peronie pełno było ludzi, mimo iż pociąg zatrzymywał się chwilę tylko, większość podróżnych powysiadła z wagonów, jakgdyby wszystkich ogarnęło nagle radosne, wiosenne podniecenie. Doszedłszy do końca peronu, ujrzał przed sobą, o kilkadziesiąt kroków za stacją, wylot tunelu pod ciężką przysadzistą górą, porośłą sosnowym lasem i ubieloną śniegiem. Dało mu to wrażenie jakiegoś tajemniczego, podziemnego przejścia, którem ludzie wymykali się z mgieł, deszczów i opiętych w chmurne pokrowce dni—na słońce. Zawrócił i szedł po-

woli wzdłuż pociągu, rozglądając się po oknach. Szukał jednej twarzy, która mignęła mu już raz przelotnie na stacyi w Wiedniu. Wsiadając do wagonu, minął się z jakąś wysoką, smukłą blondyną o pospolitych rysach, ale pełną zmysłowego wdzięku. Obejrzał się za nią machinalnie i dostrzegł, że wsiadała do jednego z sąsiednich wagonów. Zaciekało go nagle, czy też jechała jeszcze tym pociągiem.

Pociąg jednak ruszał i trzeba było wsiadać. Gwar głosów umikł nagle, zostało tylko w powietrzu monotonne brzęczenie sygnałów elektrycznych. Słońce zelektryzowało Wichrowskiego, dziwnie wesoło zrobiło mu się nagle na duszy.

— Wiosna — odezwał się do swego towarzysza podróży, jakiegoś adwokata węgierskiego, który jechał z Budapesztu do Mentony. Wichrowski zawarł z nim znajomość za Wiedniem.

Węgier pokiwał smutno głową.

— Czy pan wierzy naprawdę w klimat Rivieri?

Przez całą drogę o tem tylko mówił. Zwierzył się Wichrowskiemu, że już od dziecięciu lat jeździł rok rocznie do Mentony i serdecznie południa nienawidził. Wogóle był ponury i zgryźliwy i niepodobieństwem było nawiązać z nim jakąś bardziej ożywioną rozmowę.

— A cóż za neurastenik — myślał Wichrowski zniechęcony. Pod wpływem nagłego podniecenia zachciało mu się mówić i śmiać, a tu trafił, jak na złość, na jakiegoś schorowanego człowieczyne, którego towarzystwo mogło go tylko z powrotem w melancholię wpędzić. Odwrócił się do okna i wyglądał. Po murawie wysokiego nasypu sunął cień pociągu, zdawało się, że druty telegraficzne wciąż się schodziły i rozchodziły, ziemia była wilgotna, tu i owdzie bielily się jeszcze zasy zależącego śniegu. Po chwili we drzwiach przedziału ukazał się służący wagonu restauracyjnego; węgier i Wichrowski jedli śniadanie w pierwszej zmianie.

— Nienawidzę tej kolejowej kuchni — jęknął adwokat, idąc za Wichrowskim korytarzem.

— A pocóż pan, u dyabła, jeździ! — miał ochotę mu odpowiedzieć, gdyż go znudziły te ciągle narzekania, ale weszli do restauracyjnego wagonu i przy pierwszym stoliku z brzegu ujrzał ową przystojną blondynę, na którą zwrócił już był uwagę w Wiedniu. Ona spostrzegłszy węgier, zerwała się z głośnym wybuchem śmiechu i hałaśliwie poczęła go witać. Wichrowski, odszedłszy do swego miejsca, obserwował ich z zaciekawieniem. Na twarzy adwokata malowało się niezadowolenie, jak gdyby nierad był ze spotkania.

— Spotkał pan znajomą? — odezwał się Wichrowski, gdy węgier wrócił ku niemu po chwili i usiadł przy stoliku.

Adwokat uśmiechnął się zgryźliwie.

— Wie pan, kto to jest? — odparł przyciszonym głosem.

— No?

— Córka stróża z tego domu w którym mieszkałem kiedyś w Wiedniu. Nie poznałem jej wcale w pierwszej chwili i doprawdy, nie wiem, czemu mam zawdzięczać, że się na mnie z taką radością rzuciła — ciągnął, jakgdyby chcąc usprawiedliwić się ze znajomości.

— Przystojna osoba — zauważył Wichrowski.

— Podoba się panu?..

— Owszem.

Adwokat wzruszył nieznacznie ramionami z takim wyrazem twarzy, jakgdyby chciał powiedzieć: „Każdy ma swoje dziwactwa”. I zaczął krytykować potrawy, które im podawano. Wichrowski nie słuchał go jednak. Dość uporczywie przyglądał się wiedence. Była to jeszcze zupełnie młoda dziewczyna i Wichrowski miał wrażenie, że musiała się czuć trochę nieswojo w atmosferze restauracyjnego wagonu. Miała na sobie wytworny, podróżny kostyum, nowiuteńki, który widocznie pierwszy raz do wagonu włożyła, i strojny przejaskrawiony kapelusz, nie nadający się

wcale do ubrania. Najwidoczniej i strój ten krępował ją trochę, może bardziej, niż otoczenie, gdyż ruchy miała sztywne, jak manekin. Spostrzegłszy, że Wichrowski na nią patrzył, spuściła skromnie oczy, ale usta drżały jej hamowanym śmiechem.

— Czy to artystka? — zwrócił się Wichrowski do węgier.

— Nie wiem, wątpię... mówię panu, że straciłem ją przed dziesięciu laty z oczu, kiedy była jeszcze dzieckiem. W każdym razie, musi mieć znakomitą pamięć, skoro mnie poznała.

— Niech mnie pan przedstawi.

— Dobrze, ale mam wrażenie, że to zbyt teczna formalność.

Po śniadaniu węgier przedstawił Wichrowskiego pannie — jak się okazało, Nelly Strauss, i sam uciekł zaraz do swego przedziału, pozostawiając ich samych. Nie mogli się jednak długo w restauracji zasiadywać, gdyż stoliki były pozamawiane do następnej seryi obiadów, wyszli więc na korytarz i tam rozmawiali, stojąc. Po kwadransie wiedenka zdążyła już opowiedzieć Wichrowskiemu całe swoje życie; w tem jej opowiadaniu jednak ojciec jej był nauczycielem gimnazjalnym, a nie stróżem, jak utrzymywał węgier. Rodzice dali jej bardzo staranne wychowanie i chcieli ją pokierować na nauczycielkę, ale jej nie uśmiechało się to

bynajmniej, gdyż od dzieciństwa była już zdecydowana co do wyboru kariery życiowej. Ale nie chciała rozpoczynać jej lekkomyślnie, gdyż najgorzej jest odrazu ugrzęznąć w biedzie, potem nieraz już przez całe życie nie można się z niej wydobyć. To samo ciotka powtarzała jej zawsze. Postanowiła więc sobie święcie, że albo przez całe życie pozostanie uczciwą i będzie pracowała, albo jeśli zacznie „naprawdę żyć”, to odrazę na wielką stopę.

— Bo inaczej nie warto, nieprawda panie? odwoływała się ze szczerym naiwnym entuzjazmem do doświadczenia Wichrowskiego.

Potem rodzice jej pomarli i została na bruku. Ale odrazu energicznie wzięła się do pracy. Dostała miejsce panny sklepowej w jednym wielkim magazynie i trzy lata tam przebyła. Ciężki to był czas. Pracowała bez wytchnienia i odmawiała sobie wszystkiego, głodziła się poprostu, aby tylko móżdż zbierać tyle pieniędzy, żeby się ubrać wytwornie i wyjechać do Monte-Carlo, gdzie się cały „highlife” zbiera. Zresztą bardzo kochała Wiedeń i wogóle miała zamiar tam mieszkać stale. Ma się rozumieć w życiu rozmaicie bywa, czasem najbiedniejszej dziewczynie bez stosunków, bez znajomości, tak się powiedzie, że ktoś ze świata zwróci na nią uwagę, no ale jak tego niema, to trzeba dążyć pracą

i wytrwaniem. Oczywiście, gdy się mało zarabia, a życie drogie i najmniejsza rzecz kosztuje—oszczędzać trudno, więc bywały chwile, że ją ogarniała melancholia i zniechęcenie do wszystkiego na myśl, ile to czasu jeszcze trzeba będzie zbierać i zbierać, i głodzić się i nie-dosypiać, i marznąć w zimnym, wilgotnym magazynie, ale umiała zawsze otrząsnąć się z tych smutków, bo wierzyła w swoją energię i szczęście. I w końcu poszczęściło jej się, wygrała na loteryi...

— No, i widzi pan, jadę—roześmiała się do Wichrowskiego i w dużych jej niebieskich oczach zabłysło szczere, tryumfujące szczęście.

Rozstali się po chwili, gdyż Nelly zmęczona odeszła do swego przedziału, aby usiąść. Dla Wichrowskiego nie było już tam miejsca, więc wrócił do swego węgła. Adwokat spał, nasunawszy podróżną czapkę na oczy. Wichrowski usiadł jak mógł najciszej, aby go nie obudzić, gdyż nie miał do rozmowy z nim najmniejszej ochoty. Myślał o Nelly. Uba-wiła go swoim opowiadaniem. Ale w to ironiczne rozśmieszenie plątał się jakiś zgryzliwy zgrzyt.

— Ta przynajmniej jest szczerą.

Ale była to już tylko ironia powierzchowna, odruchowa. Nelly podobala mu się przedewszystkiem i przyszło mu na myśl, że w innych warunkach skorzystałby z tej wa-

gonowej znajomości, aby ją na Rivierze przedłużyć. I nagle coś podobnego do błysku światła przewinęło mu się przez mózg, takie to było wrażenie, jak przy pęknięciu bolesnego wrzodu. W jakich warunkach? Przecież od niego zależało tylko, aby te warunki stworzyć. Któż mu kazał tamtych szukać i ścigać? Wydało mu się, że cała ta męka, w której dwa miesiące przeszło przeżył, była tylko chorobliwą sugestią, wystarczyło zmiany wrażen, jednego błysku słońca, aby się z niej otrząsnąć. W gruncie rzeczy tamci nic go już nie obchodzili i nienawiść jego do Marjewicza była sztuczna. Najlepszym tego dowodem było, że w tej chwili mógł o nim myśleć bez żadnych uczuć. Marjewicz stał się dla niego tym dawnym Marjewiczem, którego spotykał przelotnie, czasami na ulicach.

Powtarzał to sobie, ale jakoś bał się jeszcze własnym uczuciom dowierzać. Z nienawiści, w której przeżył tak długo, pozostał mu jakby czad w duszy, który znalazł już ujście, ale trzeba było jeszcze czasu, aby się ulotnił. Najważniejsze już się jednak stało. Miał wrażenie, jakby się zbudził z ciężkiego, gorączkowego snu i dostrzegł, że świat jest takim, jakim był, że nic się nie zmieniło...

Wyszedł na korytarz i stanął w otwartym oknie. Pęd chłodnego powietrza owio-

nał mu twarz. Gdzieś w oddali wśród szarych skał mignęły dwa pierwsze cyprysy, jakieś zabiedzone i niepozorne, zdawało się, że poszły szukać szczęścia po świecie i teraz żal im było za słońcem...

Wichrowski znał Nizzę bardzo dobrze, gdyż parę razy przepędzał zimę na Rivierze, ostatnim razem z Marylką w pierwszym roku po ślubie i gdy nazajutrz po przyjeździe wyszedł na miasto, cały szereg wspomnień obudził mu się w duszy.

Wieczorem tego samego dnia miał się spotkać z Nelly, która zajęła do pierwszorzędnego hotelu,—był to jej pierwszy etap na drodze do „prawdziwego“ życia. Wspomnienia rozsmętniły Wichrowskiego; może jednak Marylka nie była mu jeszcze tak obojętna, jak to starał się w sobie wmówić: odrazu opadło mu na duszę uczucie pustki, nudy i osamotnienia. Sam nie wiedział, czy szukać Marylki i Marjewicza, czy nie; pragnienie zemsty jakoś w nim przygasło, a na rezygnację nie umiał się szczerze zdobyć. W każdym razie postanowił jednak dowiedzieć się, gdzie byli. W jednym z pism miejscowych wpadło mu

w ocyzy ogłoszenie jakiegoś biura wywiadowczego, zanotował sobie adres i miał zamiar udać się tam po śniadaniu, ale po chwilowem wahaniu postanowił zrobić to, nie odkładając. W tej zmianie postanowienia nie tyle szło mu może o samą informację, co o stworzenie sobie jakiegoś zajęcia dla zabicia nudy. Z kawiarni, w której wynalazł ów adres, do biura było bardzo blisko; po chwili znalazł się przed bramą wysokiej, brudnej kamienicy. Jakiś skład win mieścił się na dole i cała sień pełna była zatechłego zapachu beczek. Wichrowski, nim wszedł do bramy, machinalnie rozejrzał się po ulicy, jak gdyby chcąc skontrolować, czy go kto nie śledził. Łapacz mieszkał na drugim piętrze. Zadzwonivszy, Wichrowski doznał nagle uczucia niewypowiedzianej odrazy. Moment jeszcze, a byłby zawrócił i uciekł. Ale drzwi otworzyły się już przed nim.

— Pan pozwoli do mego gabinetu.

Mężczyzna, który mu drzwi otworzył, wyrzucił odrazu z siebie to zaproszenie, jak gdyby przeczuwając jego wahanie i chcąc mu ułatwić decyzję. Weszli do dużego, widnego pokoju, umeblowanego miękkimi, salonowymi meblami. Meble były mahoniowe, wyściełane ciemno-czerwonym aksamitem, który świecił w wielu miejscach poprzecieranemi plamami. Wichrowski nie umiał zdać sobie

sprawy z wrażenia, ale uderzyło go w ten urządzeniu coś, jakby znajomego i swojskiego. Biurowy ton nadawało salonowi zasuwane, amerykańskie biurko, które stało pod oknem. Pełno na niem było kopert, papierów i szaroniebieskich blankietów telegraficznych. Gospodarz podsunął Wichrowskiemu fotel, sam zasiadł przy biurku i potrząsając w powietrzu automatycznym piórem, odezwał się przyjacielskim tonem:

— Czem mogę panu służyć?

Byłto niski, otyły mężczyzna, łysawy już i szpakowaty, z wystającym brzuchem, opiętym w ciepłą, włóczkową kamizelkę ze świecącymi guzikami. Gdy mówił, zalatywało od niego zapachem jakichś podłych cygar. Rysy twarzy miał wybitnie żydowskie, na nosie czerwona pręgę od binokli, wąsy po amerykańsku przyszczyżone. Był świeżo staranie wygolony i na policzkach bielily mu się jeszcze resztki pudru.

Wichrowski nic mu przez chwilę nie odpowiadał. Nie umiał jakoś sformułować w słowach swojej sprawy. Machinalnie powiódł wzrokiem po ścianie i nagle o mało nie wykrzyknął z podziwu. Wśród jakichś obrazów w złoconych ramach, ze szkoły gabinetów restauracyjnych dostrzegł nagle „Wyjazd króla Jana na polowanie“, stare premium warszawskiego Towarzystwa Zachęty... Szybko

spojrzał na detektywa, który w lot chwycił jego zdumienie i uśmiechnął się nieznacznie.

— Pan z Warszawy może?— odezwał się po francusku.

— Z Warszawy.

Z pod amerykańskiej maski przebiegłego detektywa błysnął pocziwy uśmiech warszawskiego pokątnego lichwiarza, taki uśmiech, który wieńczy dzieło— „ja wiedziałem, że my zrobimy interes“. Ale mówił dalej po francusku:

— Moi, je suis aussi d'origine polonaise, mais il y a si longtemps, que je suis parti.

— A pan mówi po polsku?— machinalnie odezwał się Wichrowski.

— Quelques mots á peine... On oublie tout, même sa langue maternelle, — dodał w rodzaju aforyzmu o znikomości uczuć ludzkich. I odrazu wpił się znów przenikliwym spojrzeniem w Wichrowskiego.

— Pan potrzebuje dyskretnej informacji?

— Tak — mruknął opryskliwie Wichrowski.

Nie potrzeba było wyjątkowej przenikliwości, aby odgadnąć sprawę, jaka go do biura wywiadowczego sprowadziła. To też żyd odezwał się odrazu:

— Tu idzie o kobietę... — ale powiedział to dyskretnie przyciszonym głosem, jakgdyby chcąc, aby pytanie prześlizgnęło się niepostrzeżenie.

— Zależy mi na tem, aby kogoś odnaleźć.

— A, odnaleźć... Czy ta osoba jest sama?

— Z pewnym młodzieńcem.

— Pan zna jego nazwisko?

Detektyw szybko założył na nos binokle w złotej oprawie i wydarłszy z podręcznego bloku kartkę, przygotowywał się do pisania.

— Marjewicz.

— Pan wie, że ci państwo są tu gdzieś niedaleko?

— Powinniby być.

— A kiedy tu przyjechali mniej więcej?

— Przed dwoma miesiącami.

— Bardzo dobrze, — odparł detektyw, mrużąc oczy i nadymając zlekka policzki. — Pojmuje pan, że wynaleźć kogoś w takim tłumie, jaki się tu przewija, to rzecz wcale nie łatwa. Ale ja to zrobię i za parę dni dostarczę panu informacji, — zakończył, uśmiechając się znów przyjacielsko do Wichrowskiego. Jego zaś taka w tej chwili zdjęła odraza do tej nikczemnej figurki, że miał szczerą ochotę w twarz mu plunąć i na tem zakończyć rozmowę. Ale mały, chytry żydek panował już nad jego wolą. Rozmawiali więc dalej. Wichrowski udzielał mu dokładnych informacji, opisywał wygląd Marjewicza i żony, wreszcie zaczęli się targować o cenę. Wich-

rowskiemu w danym razie nie chodziło o pieniądze, nie chciał tylko, by go detektyw za zbyt naiwną ofiarę uważał.

Przy pożegnaniu detektyw wyciągnął ku niemu rękę, ale takim przezornym ruchem, aby móżdż ją, nie stwarzając przykrej sytuacji (dla Wichrowskiego) cofnąć. Wichrowski ręki mu nie podał. Wyszedł jak odurzony; nieokreślone uczucia przygnębienia, wstydu, odrazy kłębiły mu się w duszy. Na szczęście dla samego siebie, nie wypoczął był jeszcze po podróży i zaraz po śniadaniu położył się w hotelu spać.

Zbudziły go o zmierzchu dźwięki muzyki. Jakaś orkiestra uliczna dawała koncert przed oknami hotelu. Płynęło nieśmiertelne „O sole mio“, potykając się raz poraz o porykiwania syren automobilowych. Wichrowski usiadł na łóżku i zapatrzył się przed siebie osłupiałym wzrokiem — myśli rozkręcały mu się powoli, leniwe i ociężałe, jakby pootulane w watę. Ale wszystkie miały jeden i ten sam ton, pełen przygnębiającego niesmaku. W takim usposobieniu odechciało mu się już i Nelly Strauss, z którą miał spotkać się wieczorem. Łączył ją w wyobraźni z pulchną figurą „rodaka“ detektywa i wyczucie mistycznego powinowactwa dwojga tych istot nappełniło go odrazą do pięknej wiedenki. Wszystko to, co przeżywał, wydało mu się

jakąś śmieszną, głupią, dziwaczną komedią, w której sam nie mógł zrozumieć swej roli—poco przyjeżdżał do Nizzy, kto mu kazał stykać się z jakimś podejrzanym łapaczem... I nienawiść do Marjewicza odżyła w nim znów ze wzmożoną, męczącą siłą.

Detektyw niedługo szukał zbiegów. Na-
zajutrz rano Wichrowski dostał od niego
w hotelu list. Marjewicz z Marylką mieszkali
w Beaulieu w ustronnym, drugorzędnym pen-
syonacie. Wiadomość ta zelektryzowała Wi-
chrowskiego. Pospieszenie ubrał się i wybiegł
na miasto, zdecydowany, aby natychmiast do
Beaulieu jechać.

Był świeży, słoneczny ranek. Promenada
Angielska o tej godzinie była jeszcze prawie
zupełnie pusta. Paru przechodniów majaczyło
się zaledwie na dalekiej, szarej płaszczyź-
nie betonowego chodnika. Wichrowski ode-
tchnął głęboko świeżym, słonym zapachem
morza. Powietrze z nocy było zlekka prze-
mglone, na białych ścianach domów, rozsypa-
nych po dalekich brzegach zatoki, słońce
grało, tworząc złote rozmigotliwione okna
w sinej masie wzgórz i drzew. Zdawało się,
że jakiś rzeźki, radosny śmiech dzwonił wśród
rozperlonych plusków fal.

Wichrowski szedł i dziwnie lekko było mu w tej chwili na duszy.—Na placu wezmę automobil — myślał, za kwadrans powinienem tam być, zastanę ich w domu. I na tem urywały mu się myśli, potem szła jakaś ciemna, ponura noc, którą trzeba było przebrnąć, by się wydobyć na nowe światy życia.

W Beaulieu bez trudu odnalazł pensyjonat. Doszedł do niego piechotą, gdyż nie chciał przed sam dom zajeżdżać automobilem, aby nie zwracać na siebie uwagi. Dom stał w niewielkim ogrodzie, otoczonym zielonemi sztachetami. Furtka wejściowa była jeszcze zamknięta.—Długo tu sypiają widocznie—pomyślał Wichrowski z jakimś ironicznym zadowoleniem i nacisnął guzik od dzwonka. Rozejrzał się przy tem machinalnie po oknach, jakby starając się odgadnąć, które też mogło być „ich“... W głębi ogrodu, na kamiennym okrągłym stoliku, leżał jakiś zapomniany widocznie z wieczora słomkowy kapelusz kobiecy. Wichrowski spojrzał bystro: wydało mu się, że rozpoznał warszawską jeszcze panamę Marylki.

Nikt się jednak na dzwonek nie zjawiał. Dopiero gdy powtórnie zadzwonił, gwałtowniej, uchyliły się drzwi willi i wybiegł wyrostek w zielonym, liberyjnym fartuchu.

— Pan Marjewicz? — zagadnął go Wich-

rowski i nagle serce zaczęło mu tak łomotać w piersiach, że aż mu tchu zbrakło.

Po ustach lokajczyka przewinał się jakiś nieokreślony uśmiech.

— Pana Marjewicza niema — odparł po francusku z silnym włoskim akcentem.

Wichrowski spojrzał na niego podejrzliwie.

— Jakto, wyszli już, tak rano?

I równocześnie wsunął chłopakowi złotą dziesięciofrankówkę w rękę.

— Pan Marjewicz wcale dziś nie nocował.

— A pani, ta pani, co z nim mieszka? — dopytywał się gorączkowo Wichrowski.

Włoch patrzył na niego, uśmiechając się zagadkowo. Wichrowski wetknął mu drugą dziesięciofrankówkę w rękę.

— Pani tu już niema.

— Jakto niema, proszę nie kłamać, bo wiem, że jest! — unosił się, nie mogąc już panować nad swem rozdrażnieniem.

— Pani uciekła — odparł włos z chytłym, szelmowskim błyskiem w oczach.

— Uciekła? Co ty gadasz?

— Uciekła... z jednym anglikiem, co tu mieszkał... Pan Marjewicz taki zrozpaczony, my się wszyscy boimy, żeby sobie życia nie odebrał—ciągnął chłopak zniżając nagle tajemniczo głos.

— Kiedy uciekła?

— Przedonegdaj. Pan jego krewny może?

Wichrowski nic mu już nie odpowiedział. Zawrócił i zatoczył się, jak pijany. Nie umiał zdać sobie sprawy z chaosu uczuć, jakie się w nim kłębiły. To czuł tylko, że coś głupiego i śmiesznego się stało, ale nie wiedział, czy w nim, czy poza nim.



